EDMUND RÓŻYCKI.

SZKIC BIOGRAFICZNY

przez

Maryana Dubieckiego.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1895.

EDMUND RÓŻYCKI.

EDMUND
RÓŻYCKI.

SZKIC BIOGRAFICZNY

przez

Maryana Dubieckiego.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1895.

NAKŁADEM AUTORA.

...Synem byłem i rycerzem
Onej ziemi z woli Bożej...

Winc. Pol.

Trzecia część stulecia upływa od czasu walki Styczniowej o niepodległość... Znacznie przerzedziły się szeregi pokoleń, które w niej udział brały, które zachowały jej tradycye i ducha rozumiały... Jeszcze lat kilkanaście, a ostatnie usta, przechowujące niczem niezamącone podania owej chwili przeszłości — zamilkną na wieki. Różne prądy chorobliwe, nurtujące zbolały organizm narodu, potężnie przyczyniły się do zamącenia tradycyi rzeczonych czasów, lub do jej zagrzebania w rumowisku wielorakich naleciałości... Otrzeć pył prawdę zaciemniający obowiązkiem prawdziwie obywatelskim, głównie ciążącym na uczestnikach walki i na naocznych świadkach dni krwawych.

Wiele, bardzo wiele postaci godnych utrwalenia w pamięci narodu, przesunęło się przez ziemię naszą za dni tej pamiętnej epoki.

Przeszli i zniknęli dla potomnych, acz zniknąć dla historyi, dla moralnego rozwoju narodu nie mogli i nie zniknął. Przekazani pamięci pokoleń późniejszych staną się ich chlubą, przykładem,

umocnieniem, a niekiedy może i ostrzeżeniem, i hamulcem, wstrzymującym pyszałków, wszyscy zaś nauką dla późnych dni jutra.

Jak przeszłości z życia narodu wyrwać, zniszczyć niepodobna, tak niemniej niepodobna z tejże przeszłości usunąć postacie, co stanowiły główną jej treść i stanowią moralny dorobek społeczeństwa.

Może zawziętość wroga wydrzeć pewną ilość kart z historyi, może ją spaczyć, mogą ci lub owi, służąc prywacie, a pozorując swą służbę dobrem powszechnem, lub bezwiednie zaślepiając się pewną teoryą, opóźnić wyświetlenie prawdy — tryumf jednak prawdy niewątpliwy. Im większa zaciekłość wroga, im spaczenie ducha narodowego, wśród wiekowej niewoli, szybszym krokiem postępuje, tem większy obowiązek pracy nad wyświetlaniem prawdy i stawianiem przed oczyma potomności tych, co cnotą, męztwem, ofiarnością przyświecali społeczeństwu.

(Generał Edmund Różycki zalicza się do celniejszych postaci w szeregach mężów, służących narodowi za dni powstania Styczniowego.)

Niezwykły ten ruch powstańczy narodu ujarzmionego, wielki przestrzenią, którą objął, niezwykły czasem trwania bardzo długim, bezwzględu na okoliczności nader ciężkie, niezwykły porwaniem i uniesieniem wśród huraganu bojowego różnych warstw społecznych, wielki przedarciem się i do tych sfer, i do tych okolic, dokąd żaden ruch nasz powstańczy przedtem nie sięgał, wydał z głębin społeczeństwa i upamiętnił na kartach naszej

dziejowej przeszłości kilka imion, które potomność czcią otacza.

Traugutt, Bosak-Hauke, Edmund Różycki, Zygmunt Sierakowski, Dr. Włodzimierz Dybek, że nie mówimy o innych z owej epoki — świecili i świecić nie przestaną blaskiem pierwszorzędnej obywatelskiej cnoty...

Nieszczęście mieć chciało, że Styczniowe powstanie prawie nie zostawiło materyałów po sobie, oprócz mogił na całej wschodniej i środkowej przestrzeni dawnej Polski — od granic Szląska do wybrzeży Irpenia, do bram Kijowa, do lasów Żmudzi i wód inflanckich jezior za Dźwiną — oprócz zgliszcz, szubienic i rzewnych legend, które szepcą ubożuchne warstwy narodu, pod strzechą Mazowsza lub w szlacheckich zagrodach Litwy. W poezyi — jedynie Kornel Ujejski uderza o struny lutni, opiewającej niektóre chwile Styczniowego powstania — z dźwięków jego lutni wypływa ów niedługi, ale pełny prawdy rapsod o Traugucie — w epoce zaś bezpośrednio poprzedzającej wybuch Styczniowy, jeden tylko Mieczysław Romanowski składa w poezyi dowody swych przeczuć walki blizkiej, ciężkiej, beznadziejnej; lirnik zaś Mazowiecki — Lenartowicz — jedyny to piewca późniejszych cierpień na przestworzach Sybiru... W kilku pieśniach bojowych, które jak kwiat polny urosły na niwach, co się stać miały wprędce mogilnikiem całego pokolenia, w pieśniach, jakie owe dni krwawe 1863 r. nam zostawiły, nie spotykamy imion ludzi owej doby. Wyjątkiem imię generała Edmunda Różyckiego. Jego pamięć Wołyń w pieśni obozowej

przechował.) Słyszymy tam i dziś jeszcze echo tej bojowej piosenki...

....I od Karpat krzyk weselny
Zabrzmi aż do Dźwiny,
Żyj Różycki, żyj nasz dzielny,
Synu Ukrainy!...

. . . .

Temi słowy piosenki powstańczej, piosenki bojowej, sławiła zbrojna młodzież wołyńska, idąca w nader nierówny bój z wrogiem, w dniach majowych 1863 r., wodza swego generała Edmunda Różyckiego...

Imię to w epoce Styczniowego powstania, na obszernych przestworzach Zabuża w ustach wszystkich brzmiało, w sercach starszego i młodszego pokolenia znajdowało oddźwięk pełny sympatyi. Jeszcze przed wybuchem Styczniowego powstania, nim jego płomień od Kampinoskich lasów, od równin Rawy i wybrzeży Wisły a Świętokrzyzkich wyżyn przedarł się na Wołyń, sięgnął Słuczy i Teterowa, myśl ogółu na całem Zabużu, instynktowie niejako, wskazywała na Edmunda Różyckiego, jako na człowieka, który do zwycięztw wieźć tam powinien zbrojne szeregi ruchu narodowego.

Znano go w kraju, przed powstaniem Styczniowem, niedługo lecz wiele. Wychowywał się on zdala od kraju, wzrastał i kształcił się w głębi Rossyi, pod opieką wroga; gdy zaś wrócił do ojczyzny, był już mężem dojrzałym, z doświadczeniem bojowem, z wiedzą obszerną, ustalonemi poglądami na życie. Wszędzie, gdzie się ukazał w rodzinnych okolicach, budził uczucia życzliwe, ufność

bezbrzeżną; przywiązywano do niego nadzieje niemałe: przybycie jego bowiem i pierwsze pokazanie się w kraju przypada na chwilę demonstracyjnego okresu, kiedy niejeden umysł już snuł myśl śmiałą przejścia od moralnego przewrotu do zbrojnego starcia z wrogiem. Wszyscy więc, którzy w swym umyśle przewidywali blizkie powstanie na Zabużu — na przestworzach Wołynia, Podola i Ukrainy — w Edmundzie Różyckim pragnęli widzieć i widzieli wodza przyszłej walki powstańczej.

Tradycye jeszcze wówczas nieprzebrzmiałe, jeszcze nader żywe, niejako dniem dzisiejszym owej chwili będące, tradycye roku 1831, tradycye bojowe jego ojca Karola, pułkownika pułku jazdy wołyńskiej, witały Edmunda Różyckiego, gdy, około roku 1861, stanął po wielu latach nieobecności na ziemi wołyńskiej. Mniemano — i słusznie — że tradycyom narodowym, głoszącym sławę ojca, syn wiernym pozostanie, iż je przekształci na rzeczywistość, na chwilę obecną zamieni. I w istocie, widziano w życiu urzeczywistnionem to, co poeta w swem wieszczem słowie zaznaczył...

Jedną spójnią, w jednym duchu,
Jak ogniwa na łańcuchu,
Pan powiązał ojców z syny...

Słowa poety w losach Edmunda Różyckiego, w owej epoce, ziściły się najzupełniej... W lat trzydzieści jeden po drugim, ojciec i syn, Karol i Edmund Różyccy, ujmują na wołyńsko-ukrainnych pograniczach broń powstańczą, stają na czele szeregów zbrojnych, walczą... W wielu rysach chara-

kterystycznych niezmierne uwidocznia się podobieństwo między ojcem a synem; podobieństwo oblicza moralnego dwóch tych postaci każdego uderza, kto zbliża się ku nim, kto ich znał, kto wpatrywał się w głąb tych charakterów o mocy spiżowej.

Edmund Różycki przyszedł na świat 16 sierpnia 1827 r., na pograniczu dawnego Kijowskiego województwa, we wsi Agatówce, w okolicy oddzielającej Berdyczów od Żytomierza. Posiadłość to oddawna rodziny matki, leżąca tuż obok Halczyńca, własności Michała Czajkowskiego, brata matki Edmunda. Parę pokoleń, po r. 1831, zachowywało na Zabużu nazwę tego Halczyńca, i w pieśniach dawało mu rozgłos.

Wspomnień z pierwszych lat dzieciństwa, z pod rodzicielskiej strzechy wyniesionych, utrwaliło się w pamięci Edmunda Różyckiego bardzo mało: synem on ziemi, gdzie już na niemowlęta spadają ciosy, zdolne wstrząsać i obalać wypróbowane w nieszczęściu organizmy ludzi dojrzałych. I na malutkiego Edmunda spada sieroctwo i niewola w dniach, gdy zaledwie wyszedł z kolebki.

Niemowlęctwo upływa mu nie w Agatówce, gdzie ujrzał światło dzienne, ale w niezbyt ztamtąd odległej Hucie-Cudnowskiej, leżącej około miasteczka Cudnowa. Huta posiadłością była rodziców, gdzie ojciec, do wiosny 1831 r., zapobiegliwie gospodarował, i zkąd wyszedł na bój z wrogiem w epoce walki listopadowej. Tej Huty Cudnowskiej, owej

rodzicowej siedziby, najszczęśliwszych lat spędzonych pod opieką obojga rodziców, prawie wcale nie zapamiętało pacholę, które bezpośrednio od pieluch do dziedziny cierpień miało wejść..) Uścisku, pieszczot matki dziecię trzyletnie zaledwie, wśród pierwszych wrażeń budzącej się samowiedzy, nie przechowało, łez jej nie widziało, lub ich ślad w pamięci niemowlęcia zniknął, również jak i rysy oblicza rodzicielki w niej się nie utrwaliły. O tych łzach słyszy dziecko znacznie później, kiedy u wroga w niewoli dorasta, słyszy z pieśni, którą Wołyń i Ukraina długo, bardzo długo o jego ojcu nuciły.

W głębi Wołynia, na Ukrainnem Polesiu, znano i długo śpiewano jedną z tych pieśni Janusza, co głosiły sławę oręża Karola Różyckiego, w r. 1831; mówiły o łzach i boleści żony jego, osieroconej, gdy mąż ujął miecz, by pod Mołoczkami i na Tyszyckich polach przypomnieć wrogom, iż nasz oręż jeszcze nie zardzewiał:

...Snuło jezdnych się niemało
W noc po lesie całym,
A nadedniem zakipiało
W Korowińcu małym [1]),

. . . .

Pan Różycki siadł na konia,
Błysnął kord junacki,
Dmuchnął przodem, a przez błonia
Czesze hufiec gracki.

---

[1]) Korowińce Małe — wieś, w której lasach zbierał się w połowie maja 1831 r. oddział Karola Różyckiego z 200 ochotnika złożony, leżą o 4 mil od Żytomierza, w kierunku Cudnowa.

Miasto kroci dwiestu wstało,
Dwiestu będzie żyć;
Bo tych dwiestu rękę dało
Hańbę kroci zmyć...

W Hucie rankiem żona płacze,
Tych jej dzieci szkoda:
Pod Różyckim konik skacze;
Nie płacz pani młoda!

Jak głos dzwonu siołom płynie
Gruchnie Polską wieść,
A cześć będzie tej drużynie
I wodzowi cześć!...

Jedyną chwilą zapamiętaną z epoki szczęśliwej pierwszych życia lat było wspomnienie jakiejciś przejażdżki zimowej z ojcem, do lasu Huty-Cudnowskiej, gdzie się prowadziło leśne ojca gospodarstwo. To wrażenie nowe, padające na umysł dopiero dochodzący do pierwszego zapoznawania się ze swem otoczeniem, jedynie upamiętniło się we wspomnieniach z owych lat, gdy oboje rodzice czuwali nad umysłem i sercem zaledwie z pieluch oswobodzonego pacholęcia... A jednak wkrótce to dziecię, tak jeszcze słabe i małe, miało rozpocząć dni tułacze, miało chronić się od wroga, który porwać je pragnął; i, wreszcie, po kilku latach, nie zdołano go ocalić: niedorosłem pacholęciem wróg je porywa i unosi daleko od zagrody rodzinnej, daleko od wszystkich jego ukochań, daleko od ziemi ojczystej. Zanim to jednak nastąpiło, po wyjściu ojca do powstania, jeszcze czas pewien malutki Edmund i o niewiele od niego starszy brat, Stanisław (ur. 9 listop. 1822 r.) bawią przy matce. W pierwszych tygodniach walki ciosy osta-

teczne jeszcze nie spadają na cichy dwór w Hucie-Cudnowskiej, ale miejscowa policya wpada kilkakrotnie z rewizyą, dla indagacyj i powzięcia języka o dowódzcy jazdy wołyńskiej. Podczas jednej z takich odwiedzin urzędników policyjnych, co pospolicie rzucało postrach na cały dwór, policyant zwrócił uwagę na jedno z dzieci pani Różyckiej płaczące u poły sukni matki. Mniemał moskiewski urzędnik, że dorywczem zapytaniem strwoży przestraszone dziecko i wydobędzie w ten sposób jakąś wiadomość o poszukiwanym ojcu. Tem dzieckiem był mały Edmundek. Zapytał go nagle policyant: „A gdzie Tato?“ — „Poszedł bić Moskali“, odparło niezmieszane dziecko. — „A ty, jak wyrośniesz, co będziesz robił?“ Wśród pytań dalszych, rzekł urzędnik: — „I ja będę bił“... szybko odrzekło pacholę, które po trzydziestu dwóch latach miało urzeczywistnić na polach Salichy przyrzeczenie dziecinnych lat...

Nie wiemy, czy Moskwa zapamiętała owo znalezienie się przytomne, a dziwnie śmiałe ledwie ponad kolebkę urosłego chłopięcia, lecz dla wszystkich polskich dzieci już los jednaki był zgotowany przez cara, jeśli ojcowie tych dzieci ujęli oręż powstańczy. Car dał rozkaz wywożenia dzieci powstańców z ziem Litwy, Podola i Wołynia w głąb Rossyi, gdzie na Moskali miano ich przerabiać. Metoda to stara chwytania dzieci, metoda wielekroć zastosowywana w Polsce przez Moskali. Już Drewicz, za dni Konfederacyi Barskiej, porywał polskie dzieci i wywoził je w głąb pustyń Rossyi. Takiem chłopięciem, porwanem z Wielkopolski

przez Drewicza, był Grabowski, ojciec Michała, znanego u nas krytyka, takiemi dziećmi byli liczni inni, o których wieść zaginęła, którzy swemi kośćmi użyźniali obszary moskiewskiego państwa. Niewielu z nich wróciło, niewielu urosło na pożytek ojczyzny, niektórzy, i to nieliczni, stali się jej siepaczami, większość marnie zginęła.

(Porywano po r. 1794, porywano po roku 1831, i później. E. Różycki, Sołtanowie, Bosak-Hanke, porwany w trzecim roku życia, są tego przykładem.) Do porywania dzieci nie wahały się dłoń swą przykładać nawet panie wyższych kół towarzyskich Rossyi. Wyraźnie mówi o tem jenerał Hauke-Bosak w swem *curriculum vitae* własnoręcznie skreślonem. „Mając półtrzecia roku życia — mówi on — byłem wywieziony, razem z bratem, mającym półpięta roku i siostrą półsiodma, do Petersburga, przez wysłaną w tym celu, z rozkazu cara Mikołaja, księżnę Meszczerską,.. Matka była śmiertelnie chorą i wysłano ją zagranicę [1])"...

Późniejsza epoka również obfituje w wywożenia dzieci. W latach 1863 i 1864, gdy całemi osadami posyłano z Litwy na wygnanie w głąb Syberyi, widziano tłumy dzieci, które w drodze dziesiątkami marły; utworzyły się obszerne cmentarze, złożone wyłącznie z mogił dziecinnych, na zachodnich stokach Uralu. Przykłady więzienia dzieci i ich wywożenia, za dni powstania Styczniowego, spotykano zarówno na Litwie jak i w Koronie: nie mówiąc o innych, dość przypomnieć

[1]) Z autografu pozostałego w papierach po Gillerze.

porwanie w Wilnie, od rodziców, więzienie i, wreszcie, wysłanie na wygnanie, nad Wolgę, dwóch małych Houwaldów, z których starszy miał lat dziesięć, młodszy zaledwie siódmy rok liczył.

Porwanie Edmunda Różyckiego miało miejsce nie wnet po upadku Listopadowego powstania. Rząd rossyjski przedsiębrał kroki natychmiastowe, ale udało się obu małych Różyckich ukryć i tajemnie przenieść do Galicyi, gdzie znajdował się pułkownik Karol Różycki czas pewien, i gdzie nasi tułacze i rozbitki powstańcze mieli nadzieję utrzymania się i pozostania pod opieką rządu austryackiego. Złudzenie niedługo trwało: emigracya zniewolona była opuścić terytoryum galicyjskie i udać się na Zachód. Wędrówka tułacza do Francyi z dwojgiem małych dzieci niemożliwą była dla żołnierza. Starszy syn był malutkim, ale młodszy, Edmund, omal nie niemowlęciem, potrzebującem jeszcze opieki niewieściej, ojciec przeto postanowił rozstać się z nim i ukrywać go w kraju, w okolicach rodzinnych. Pułkownik K. Różycki, udaje się na emigracyę ze starszym synem, Stanisławem, młodszego zaś Edmunda odsyła na Wołyń. I znowu dziecię odbywa podróż w worku przemytnika, który je przynosi do jednego z nadgranicznych dworów na Wołyniu, w Krzemienieckim powiecie, gdzie to zawiniątko z dzieciątkiem składa w żłobie stajenki.

Od owego dnia zaczyna się dla malutkiego Edmunda szereg lat tułactwa i doli sierocej, wprawdzie otoczonej w pierwszych chwilach troskliwością ziomków, którzy pragnęli go ocalić od opieki cara, niemniej jednak połączonej z obawą, niepe-

wnością, ciągłemi zmianami: ukrywają dziecko pod nazwiskiem obcem; los zmienia mu opiekunów; w każdej jednak przygodzie spotyka ono z rozwagą nad lata, ze spokojem i przytomnością umysłu, owe zmiany swych dziecięcych losów, i mężnie stawi czoło władzom rossyjskim, kiedy wreszcie w kilka lat później wykryto, że ono to jest tym poszukiwanym oddawna, synem Karola Różyckiego.

Gdy wieziono go od granicy ku Ukrainie miało miejsce widzenie się z matką, widzenie się — ostatnie.

Nie mówiono dziecku, że matkę zobaczy, a ono tak dalece małem jeszcze było, iż zatraciło wrażenia otrzymane w Hucie-Cudnowskiej: rysy oblicza matki zatarły się w pamięci, podczas tułaczki po Galicyi.

Przywieziono go do Agatówki, i tam, jak sam później opowiadał, spotkał kobietę czarno ubraną, smutną, poważną, która go błogosławiła, uściskała, medalik z Matką Boską zawiesiła na szyi; łzy z óczu kobiety czarno ubranej spadały mu na twarz, na czoło; trwało to jednak nader krótką chwilę... Po kilku minutach, dzielne rumaki unosiły go dalej, do bezpieczniejszego schronienia. Nikt mu nie powiedział, że to matka; obawiano się.

Ale postać czarno ubranej niewiasty głęboko w pamięci dziecięcia wyryła się i nie zatarły jej wcale późniejsze lata, nie zatarło całe życie. Na dwa lata przed zgonem, mówiąc o owem przelotnem, nagle zniklem niby błyskawica, spotkaniu matki, spotkaniu jedynem a ostatniem, dodawał: „Tak, to zapewne była matka“... i wzrok jego wów-

czas biegł w nieskończoność, jakby pragnął cofnąć się wstecz, i ponownie postawić przed okiem ducha swego ten obraz matki „w czarnej sukni“, milczącej i kreślącej krzyż nad głową dziecięcia...

Przywieziono małego Edmunda na Ukrainę i umieszczono w domie pani Adolfowej Pilchowskiej, której mąż walczył w oddziale powstańczym Karola Różyckiego, kraj opuścił po upadku walki listopadowej, i chociaż na mocy jakiejeiś amnestyi, wprędce wrócił, lecz w domu nie pozostał; trzymano go w więzieniu a nakoniec wysłano w głąb Rossyi. Pani Pilchowska, osoba wtedy bardzo młoda, zacna i ukształcona, bezdzietna, z całem poświęceniem zaopiekowała się malutkim Edmundem: kształcono go starannie, a pilnie strzeżono od czujnego oka policyi i szpiegów. Nad dziećmi Karola Różyckiego wciąż wisiał wyrok carski porwania i uprowadzenia. Rzecz to była tak powszechnie znaną, iż Julian Niemcewicz, w latach swej ostatniej tułaczki na bruku paryzkim, zapisuje ten fakt w pamiętnikach; tembardziej przeto wiedziano o grożących niebezpieczeństwach w kole ludzi opiekujących się małym Edmundem Wszelka jednak czujność nie zdołała uchronić dziecięcia od czyhającego wroga. Powoływano panią Pilchowską wraz z dzieckiem przed wielkorządcę południowych prowincyj dawnej Polski, przed gener. Lewaszowa, który, domyślając się rzeczywistego pochodzenia chłopięcia, nie dawał wiary, aby on był synem tej młodej osoby, zawahał się jednak, gdy chłopczyk,

stawiąc się śmiało i w języku francuzkim tłumacząc się, jak na swój wiek, dość biegle, przekładał groźnemu wielkorządcy, iż jest Pilchowskim. Wprędce potem p. Pilchowska umarła, a dziecko przeszło pod opiekę pp. Szymanowskich, mieszkających w Kijowie, którzy je nietylko otaczali prawdziwie rodzicielską opieką, ale kształcili nader starannie. Przebywało u nich, tropione przez wroga dziecko pod nazwiskiem Pilchowskiego i dla całego otoczenia tajemnicą okrywano jego pochodzenie, ale nie dla niego; wiedziało bowiem kim jest i, lubo tak małe pacholę, umiało z taktem i oględnością nad lata zachować tajemnicę. PP. Szymanowscy nie ukrywali nawet przed małym Edmundem, że otrzymują z zagranicy, drogą tajemną, listy od jego ojca, co w owych czasach i okolicznościach wywołać mogło bardzo smutne dla nich następstwa: granica była ściśle strzeżoną przez rossyjskie bagnety; książka i listy z emigracyi nie mogły jej przekraczać. Dzieci narodu ujarzmionego wcześnie uczą się ostrożności: malutki tułacz ściśle zachowywał tajemnicę... Nadeszła jednak chwila, której się obawiano. Za rządów słynnego satrapy kijowskiego, gener. Bibikowa, upamiętnionych bezwzględnem prześladowaniem żywiołu polskiego w południowych prowincyach dawnej Polski, władze rossyjskie wykryły wreszcie przez szpiegów, że rzekomy Pilchowski jest Edmundem Różyckim: dwunastoletniego chłopaka porwano i do Petersburga zawieziono.

Nad polskiemi dziećmi czuwa niekiedy Opatrzność w sposób wyjątkowy. Do takich niespodzia-

nych a pomyślnych wyjątków zaliczać należy wychowanie się w Petersburgu małego Edmunda... Bóg czuwał nad nim i Bóg go wychował. Prądy złych wpływów rozwiały się nad głową dziecięcia, nie tknąwszy jej. Wszelkie ułudy i pokusy wroga, któremi usłano ścieżki życia dziecięcia, stały się narzędziem w proch rozsypującem się: wróg nie dopiął celu, dziecko nie zaparło się swej przeszłości. Pamięć przeszłości gorzała w jego myśli i stała się pochodnią oświecającą przepaściste ścieżki życia.

Wieziono dziecko do stolicy carów z pewnemi oznakami troskliwej opieki. Wróg nasz wschodni umie przybierać w razie potrzeby pozory dziwnej uprzejmości, pozory uczuć nader ludzkich, które wszakże znikają, również nagle jak się ukazały, gdy władze naczelne inaczej rozkażą, gdy interes inaczej zaleci czynić.

Małego Edmunda, wówczas liczącego zaledwie 12 lat (w r. 1840), wieziono do Petersburga w wygodnym powozie, troskliwie pielęgnując. Towarzyszył mu oficer i żandarm, zbytecznem dodawać, iż w drodze na niczem nie zbywało co ku wygodzie mogło służyć; dziecko pilnie usuwano od wszystkiego przypominającego niewolę... W stolicy oddano je bratu cara Mikołaja, w. ks. Michałowi, który był szefem wszystkich szkół wojskowych państwa rossyjskiego. Obchodzenie się w. księcia z dzieckiem stało się dalszym ciągiem tej uprzejmości, uprzedzającej niemal, z jaką je wieziono z Kijowa do Petersburga. Podczas przeglądu kadetów, gdzie zgromadzoną była młodzież ze wszystkich wojskowych szkół stolicy, w. książę zapytał

małego Edmunda, do którego z oddziałów pragnie być wcielonym: dziecko wskazało kompanię, której mundury najwięcej mu się podobały. Zadośćuczyniono żądaniu, umieszczając go w tym korpusie kadetów, którego mundur najbardziej się mu podobał. Zapisano go tam pod właściwem nazwiskiem, z tym dodatkiem, iż jest synem „polskiego powstańca z r. 1831".

Drobne szczegóły podróży i pierwszych chwil pobytu w stolicy świadczą najwymowniej jak dalece pilne a wielkie czyniono zabiegi, by pozyskać dziecka sympatyę: wdzierano się do wnętrza małej duszyczki, by nią opanować, w niej stać się z czasem wszechwładnym panem. Dziecko, rozważne nad lata, przyjmowało obojętnie wrzekomą serdeczność, nie zapominało wszakże ani na chwilę, że z wrogiem ma do czynienia. Ze spokojem poddawało się jego rozkazom, nie drażniło go niczem, ale zdala w głębi ducha swego od niego się trzymało. Nie olśnił wróg wówczas dziecięcia, zarówno jak później olśnić i pozyskać nie zdołał dojrzałego męża.

Wcale nie właściwym byłby nasz sąd o małym Edmundzie, gdybyśmy w owej epoce wystawiali go ponurym, zamkniętym w sobie, stroniącym od ludzi. Dziecko w gronie kolegów było wesołem, koleżeńskiem, zachowywało się stosownie do wieku swego, lecz niemniej poza życiem koleżeńskiem, życiem niejako zewnętrznem, spostrzegać się daje w nim, już wówczas, zwrot ku skupieniu się w sobie, ku życiu duchowemu.

Posiadamy z tradycyi jeden szczegół jego ówczesnego życia, gdy chłopięciem małem z trudnością nałamywał się do wojskowego rygoru szkoły, a tęsknił do ziemi ojczystej i wszystkiego co własny obyczaj przypominało, lub zadość czyniło pragnieniom serca młodocianego.

Wśród niższych dozorców szkoły, podoficerów, którzy byli instruktorami musztry, spotykano wówczas jednego Polaka, weterana, prawdopodobnie 1831 r.; oddano mu pod dozór bezpośredni w sprawach exercycyj wojskowych, małego Edmunda. Stary żołnierz posiadał malutką polską książeczkę do nabożeństwa, z którą nigdy nie rozstawał się; a miał znać swe zachowanie u zwierzchności, iż mu jej nie odbierano, czy też ukryć ją umiał. Zresztą, w onych czasach, za dni Mikołaja I, znęcanie się nad ludźmi innej wiary lub narodowości, znęcanie się na własną rękę, przez niepowołanych do tego z najwyższego rozkazu, nie było pozwolonem. Istniał nawet ukaz cara Mikołaja I, zabraniający żołnierzom Rossyanom używania wyrazu „Polak“ w znaczeniu przezwiska obelżywego, a niemniej przypominania z urąganiem Polakom ich smutnej doli. Znęcać się mógł tylko panujący, lub ci którym to zlecił; rozpętano instynkta krwiożercze całego narodu rossyjskiego dopiero za następnego panowania. Mikołaj, znając usposobienia destrukcyjne narodu swego, trzymał je na wodzy; sam był tyranem, ale nie znosił tysiąca tyranów w krajach przez Rossyę ujarzmionych, nie pozwalał pismakom, by wytwarzali prassę tyranizującą. Od drobnych szykan można więc było być wolnym.

Weteran korzystał bez żadnych przeszkód ze swej książeczki, modlił się z niej nietylko sam, lecz jej udzielał i dziecku, nad którem czuwał. Gdy dziecko w musztrze zaniedbywało się, wtedy mówił stary żołnierz: „bądź grzeczny, a dam ci na chwilę książeczkę“... I dziecko czyniło w exercycyach wojskowych szybkie postępy, poddawało się ściśle przepisom rygoru, aby mieć możność pomodlenia się z polskiej książki; i w ten chociaż sposób, przysłuchując się własnym wyrazom modlitwy, przysłuchiwało się dźwiękom polskiej mowy.

Miały jednak po kilku latach nadejść chwile pomyślniejsze dla polskiego dziecka, zamkniętego w rossyjskiej szkole. Nietylko dźwięk polskiej mowy wpadać mu zaczął do ucha, ale najszczytniejsze myśli polskich poetów wpadały do młodocianej duszy, gościły w jego umyśle, kształcąc, podnosząc go, rzucając dla przyszłości bujny posiew.

Młodzież ówczesna polska, przybywając dość tłumnie z dzielnic, zostających pod berłem rossyjskiem, na uniwersytet petersburski, przywoziła z zagród rodzinnych świadomość niedoli narodu, znaczny zasób uczuć patryotycznych i myślą znacznie wznosiła się nad poziom zwykłego, często nazbyt wesołego życia: kształcąc się sama, marząc wciąż o losach narodu, pragnęła młodzież ta rozszerzać zastęp pracujących z myślą o ojczyźnie, pragnęła rozszerzać świadomość niedoli narodu wśród innych, w szeregach młodszych od siebie. Wyszukiwano przeto nader starannie młodzież pol-

ską młodszą, uczącą się w różnych zakładach stolicy, wyszukiwano tych, co już zbiegiem okoliczności skazani byli na zmoskwiczenie, otrząsano z nich pilnie wszelką pleśń obcą, starano się w organizmy napozór obumierające dla narodu wlać ducha narodowego, zapoznawano więc je ze wszystkiem co swojskie, przemawiano do nich językiem nader wzniosłym, językiem uczuć narodowych, mową wiary religijnej, której zarzewie przechowywało się prawie zawsze na dnie ich duszy... W ten sposób wytworzył się stosunek, łączący młodzież polską uniwersytecką z młodzieżą różnych szkół wojskowych i niewojskowych: stosunek ten uchodził oka władz, lub nie zwracano nań uwagi, w mniemaniu, iż tu dla rządu nic niema niebezpiecznego; nie rozumiano natury tego stosunku. Pierwotna cywilizacya rossyjskiego narodu, niezłagodzona prądami myśli wyższej, nie umiała odczuć całego piękna, które istniało w tym stosunku dusz młodocianych, wznoszących się ku wyżynom najszczytniejszego piękna. Poziome umysły Rossyan widziały jedynie w owem ciągnieniu pacholęcych kadetów do dojrzalszej uniwersyteckiej młodzieży chęć zabawy i wesołego użycia krótkich chwil urlopu; nie przypuszczano wcale myśli wyższej... Wśród uczęszczających na te zebrania był szesnastoletni Edmund Różycki... Wynalazła go w korpusie kadetów młodzież akademicka, do której skoro raz zbliżył się, już z nią stosunków nie zrywał, poświęcając wszystkie wolne godziny, w których zakład mógł opuszczać, na odwiedzanie owej patryotycznej młodzieży.

Lata pierwszej młodości przechodzą więc młodziutkiemu Edmundowi w tym stosunku ze szlachetnemi postaciami młodzieży uniwersyteckiej. Bywa na ich zebraniach szesnastoletniem chłopięciem, czytuje z nimi poetyczne utwory wielkich mistrzów, zapoznaje się z dziejami narodu, z dniami chwały przeszłości i nieszczęściami teraźniejszości, urasta duchowo ponad lata: patryotyzm jego opiera się o granitową podstawę wiary religijnej. W one lata już się wykształcał ów charakter prawy, owa moc ducha i kierunek myśli, z jednej strony oparty o dziedziny nieziemskie pozaświecia, z drugiej o glebę rodzinną, o mogilnik nieszczęść narodu [1].

Na każdem z tych zebrań, nim przystąpiono do czytania utworów Krasińskiego, bądź Mickiewicza, klękano i odmawiano każdemu z nich znane od dziecińśtwa owe domowe modlitwy, któremi matki niegdyś uzbrajały ich pierś młodocianą na bój z życiem. Ten wstęp przenosił całe to grono młodzieży z ciasnych izb cudzoziemskiego grodu do wiosek i pól zagród ojczystych, i dopiero w ten sposób przygotowani niejako przystępowali do studyowania rzeczy swojskich.

Po paru latach, gdy ukończył celująco studya w owym korpusie kadetów i, już ze stopniem oficera, dalej się kształcił w szkole artyleryi, nie zaniedbywał również swych stosunków z kołami patryotycznej polskiej młodzieży. Na stanowisku

[1] Z owej epoki jest malutki portrecik młodziutkiego Edmunda, robiony w Petersburgu i posłany ojcu do Paryża. Aby mundurek nieprzyjacielski, w który dziecko ubrane było, nie raził biednego ojca, zamieniono go na koszulkę.

oficera, chociaż jeszcze wciąż uczącego się, łatwiej mu było stosunki te utrzymywać i rozwijać, lecz były to czasy większych podejrzeń i zdwojonej czujności policyjnej, gdyż łoskot burzonych tronów, podczas rewolucyi lutowej, 1848 r., dobiegał aż do stolicy carów. Zwrócono uwagę na zebrania polskiej młodzieży w Petersburgu i, lubo nic nie zdołano wykryć karygodnego, rozproszono je. Wówczas to i Edmunda Różyckiego wysłano do armii walczącej na Kaukazie. Podróż z Petersburga na Kaukaz odbywał pod strażą, jako politycznie podejrzany.)

Czteroletni pobyt na Kaukazie (od 15 sierpnia 1848 do 11 lipca 1852 r.) stał się dla niego szkołą wszechstronną, szkołą życia praktycznego i szkołą dalszą wojskową, dał mu możność przypatrzenia się zblizka walce, zużytkowania swych wiadomości teoretycznych w obozie, w sztabie i na polu starć z góralami.

Były to lata pierwsze jego życia praktycznego, a zarazem pierwsze lata karyery wojskowej; lecz niemniej w tych pierwszych latach wyróżnia się on najzupełniej z całego grona swych rówienników: już wówczas cenią go wielce zwierzchność i koledzy; podziwiają powagę nad wiek, sąd wytrawny, całe zachowanie się młodzieńca bardzo wykształconego, wcale jednak niepodobne do postępowania innych w jego pozycyi. Przerastał wszystkich znacznie, szczególnie ze względu na swą wartość moralną. Pewne usposobienie patryotyczno-religijne nie dość iż wówczas w nim uwidoczniało się, ale stanowczo górowało. Znamienny ten rys

jego charakteru już wtedy każdego uderzał, kto z nim bliżej się zetknął.

W czwartym roku pobytu na Kaukazie otrzymuje pozwolenie uzupełniania studyów naukowych. Skwapliwie przeto z możności korzysta, wraca do Petersburga, gdzie się zapisuje na kursa akademii wojskowej, i w r. 1854 kończy świetnie ów najwyższy zakład wojskowy w Rossyi. Z rangą kapitana generalnego sztabu śpieszy powtórnie na Kaukaz, lecz już dąży nie pod strażą; posiada zupełne zaufanie władz — staje na gościńcu pierwszorzędnej karyery militarnej, pracuje wciąż w naczelnym sztabie wojsk, tam wówczas działających.

Około siedmiu lat trwa ten drugi okres pobytu na Kaukazie, okres pod każdym względem pomyślny, a od pierwszego znacznie świetniejszy. Posuwa się szybko po drabinie rang, zaszczytów; zdawało się, iż nic już go nie dzieli od najświetniejszej karyery. Podczas tego właśnie okresu uzyskał on długi urlop, a z nim możność udania się zagranicę do ojca i odwiedzenia ziemi rodzinnej, gdzie się poznał z siostrami. W prośbie, którą o ten urlop do cesarza podawać musiał, oświadczył wyraźnie, z całą prostotą i prawdą, zawsze go cechującemi, że „pragnie odwiedzić na tułactwie ojca swego, którego od lat niemowlęcych nie widział, i prawie zupełnie nie pamięta“... Uczynił to, wiedząc, iż może narazić się na odmowę: ale przekładał raczej narażenie się na odmowę, lub nieukontentowanie władz, niż zaprzeć się tego, co poczytywał sobie za święty obowiązek. Takim był zawsze — pełen prawdy i prostoty. Pobyt na Za-

chodzie trwał jedenaście miesięcy i wywarł wpływ niemały na uwydatnienie tych właśnie rysów charakterystycznych jego usposobień, o których wspominaliśmy. Sam on znać miał takie przekonanie w późniejszych latach; ślad zaznaczenia ówczesnego zwrotu ku życiu coraz bardziej duchowemu spotykamy w jednym z jego listów, pisanych do przyjaciela, gdzie zarazem znajdujemy cenną charakterystykę, malującą go takim, jakim widziano go na Kaukazie, podczas dwóch ostatnich lat pobytu w szeregach nieprzyjacielskich (1858—1860).

Dajemy tu własne jego wyrazy kreślone w Paryżu (we wrześniu 1868 r.).

...„Ostatnie dwa lata pobytu na Kaukazie — czytamy w rzeczonym liście — upłynęły w głównej kwaterze wojsk, przy których sztabie służyłem. Kwatera główna znajdowała się niedaleko od brzegów morza Kaspijskiego, w fortecy i mieście Timur-Chan-Szura (co znaczy „Uroczysko żelaznego chana)". Większą cześć roku przepędzałem w marszach i w obozie, a tylko na część zimy przychodziliśmy na leże do wspomnianego miasta. Z kolegami moimi byłem towarzyski, uprzejmy i usłużny, wszyscy mnie bardzo kochali; ale i tam, jak podczas całego pobytu w Rossyi, żyłem głównie sam w sobie, z ciągłą myślą o ojczyźnie; a ponieważ pod tym względem spółkę trudno mi było znaleść, wyrobiła się we mnie pewnego rodzaju skrytość i obojętność na wszystko, co się tej głównej struny mego życia wewnętrznego nie tyczyło; tak, że Moskale zauważali, że tylko dwie rzeczy mnie mogą zająć i wzruszyć: Polska i religia. Drażliwość moja

co do tego ostatniego punktu była tem większą... iż to już było po powrocie moim z Paryża i z Zurich [1])“...

Ostatnie wyrazy z całą stanowczością stwierdzają nasze, wyżej tu przytoczone zdanie, o wpływie zetknięcia się z ojcem i cywilizacyą inną, niż ta co go uprzednio otaczała. Obcowanie z ojcem mocno wpłynęło na uwydatnienie tych dodatnich rysów charakteru, które już przedtem wyróżniały go bardzo wśród całego otoczenia.

W dalszym ciągu przytoczonego tu listu, mówi, jak dalece pewne pojęcia religijne „stały się“ dla niego „puklerzem nieprzebitym“, osłaniającym — jak sam się wyraża — od zarazy materyalizmu, która z ogromną siłą zaczęła wtenczas grasować w Rossyi. „Teoryami materyalizmu przejęte było całe społeczeństwo (rossyjskie); stały się one głównym przedmiotem rozmów, i niemi podniecano i usprawiedliwiano panujące tam złe obyczaje“...

Wśród tego otoczenia, najzupełniej mu pod każdym względem obcego, ceniono go wysoce, widziano w nim jakąś wyższą pod względem moralnym istotę; różne koła towarzyskie miejscowości, w której przebywał na Kaukazie, mogły co do wielu rzeczy nie zgadzać się z sobą, ale co do niego nie było dwóch zdań.

Opieramy nasze twierdzenie na słowach rossyanina, który należał do kół towarzyskich Kaukazu, i w lat kilka po powstaniu Styczniowem, odwiedzając Paryż, tak rzekł do Edm. Różyckiego: —

---

[1]) Z listów do p. Karola Baykowskiego.

„Pan nie wiesz jak wszyscy u nas ciebie szanują i kochają... naprzykład wówczas, jakeś wziął udział w powstaniu przeciw Rossyi, nie chcieliśmy nawet kwestyi tej poddawać dyskussyi, lecz powiedzieliśmy sobie: że jeżeli on tak zrobił, to musi być dobrze i szlachetnie; inaczej nie mógł postąpić... Małoś pan mówił... aleśmy czuli co myślisz i że dobrze myślisz“...

Świadectwo powyższe, w niewielu wyrazach zawarte, najzupełniej wystarcza do odtworzenia stosunku, jaki łączył Edm. Różyckiego z otoczeniem jego ówczesnem na Kaukazie. Ceniono go nietylko w kołach towarzyskich rossyjskich, lecz, Rossya urzędowa, t. j. wyższe i najwyższe sfery wojskowe, dużo mu okazywały poszanowania. Niezawsze zgadzano się z jego zdaniem, jak n. p. wtedy, gdy uwagi czynił na Kaukazie generałowi Milutynowi, późniejszemu ministrowi wojny, co do postępowania ze zwyciężonymi góralami, lecz niemniej, szanując go, oddawano słuszność uzdolnieniom i całemu zachowaniu się człowieka i wyższego oficera sztabu: sypnięto więc nań orderami, zaszczytami; stopnie wojskowe posuwały go szybko po drabinie militarnej karyery. Patrzał on wszakże na to obojętnie: myśl o ojczyźnie starczyła mu za wszystko; żył, jak wyżej wskazano, „sam w sobie“, z myślą jedynie o niedoli ziemi ojczystej... Prędzej niż zdołał spodziewać się znalazła się możność zbliżenia się do Polski. Zwierzchność wojskowa, oceniając należycie jego militarne wykształcenie, przeniosła go z odległego Kaukazu na szerszą widownię: tą szerszą widownią, stosownie do jego

prośby, była ziemia ojczysta. Przeniesiono w r. 1861 Edmunda Różyckiego do sztabu wojsk konsystujących na Wołyniu.)

Pożegnanie z towarzyszami broni na Kaukazie odznaczało się niezwykłą ich serdecznością. Żałowano Różyckiego powszechnie. Timur-Chan-Szura zapewne po raz pierwszy świadkiem być miała wylewu uczuć tak rzewnych. Czyniło to zaszczyt owym jego rossyjskim kolegom: pod ponurem niebem rządów Mikołaja kształciły się charaktery wyższe, uczucia zwracały się ku podniosłym ideałom, a właśnie owi koledzy sięgali epoką swego wychowania doby rządów mikołajowskich. Różycki był dla nich postacią urastającą ponad zwykłą miarę: zrozumieli to, odczuli, i w chwili rozstania zgotowali mu wspaniałą owacyę, gdzie serce przedewszystkiem składano mu w ofierze.

Po wielu zmianach, i w Polsce i w Rossyi, w kilka lat po powstaniu, już za dni swego tułactwa w Paryżu, przypomina ową chwilę, znać z przyjemnością, Różycki, wyrażając się w ten sposób, w jednym listów: „Gdym w r. 1861 opuszczał Kaukaz, koledzy urządzili dla mnie pożegnanie najserdeczniejsze, rozrzewniające uczuciem, z którem było robione... Dwaj z ich grona odprowadzali mnie kilka stacyj“... Jakąś piękną, rossyjską poezyą, na ową chwilę pożegnania ułożoną, żegnano go. Wiersz ten przechowywał on długo, potem wśród różnych przeciwności losu zaginął mu odpis tej poezyi, co z żalem kilkakroć wspominał, a nawet na niewiele przed zgonem jeszcze o owym wierszu mówił.

Powrót do kraju, czyli raczej przeniesienie się do sztabu wojsk konsystujących na Wołyniu, przypada na czasy nader niezwykłe. Rozpoczynał się tylekroć opisywany, a dotąd jeszcze wyczerpująco nieopowiedziany okres tak zwany demonstracyjny. Określać znaczenia wypadków owych lat 1860 do 1862 — opowiadać ich treści — nie będziemy. Powiew to Boży, co szedł przez nasze pola i lasy, co kołatał do sumień, do serc oddawna obezwładnionych długotrwałym uciskiem narodowym. Młodzi i starzy, obojętni lub zobojętniali, odżyli niejako pod wpływem tych niezwykłych powiewów, odbiły się one w duszach wielu, a zbytecznem dodawać, iż w głębinach ducha Różyckiego znalazły oddźwięk. On je zrozumiał i odczuł bardziej niż inni i, o wiele lat później, nawet na niewiele tygodni przed zgonem, rad mówił o wielkiej doniosłości tych chwil dla duchowego odrodzenia narodu.

Wobec wypadków szybko rozwijających się, Różycki nie mógł pozostać i nie pozostał świadkiem obojętnym... Nie powołały go do czynu ludzkie zabiegi, namowy, obliczenia, lub własna porywczość. Nie. Powołał go — jak niejednego w one dni — głos wewnętrzny, płynący z powiewów Bożych, z tchnienia nieziemskiego, co się unosiło nad ziemią naszą.

Edmund Różycki przedewszystkiem mocno wierzył w ową prawdę, którą niegdyś wygłosił za dni Jagiellońskiej doby hetman Tarnowski, iż „los bitew jest w ręku Bożem, w ręku Pana Zastępów; On sam zwycięża i ten komu On pomagać raczy... O tę więc pomoc przedewszystkiem żołnierz i każdy

wódz starać się winien"... To zdanie Zygmuntowego hetmana Różycki mienił „wielką i jedyną prawdą"... Na onej prawdzie polegał, gdy później sięgnął po oręż, i jeszcze później, bo w lat piętnaście po powstaniu Styczniowem, w jednym ze swych listów przytacza ją i szerzej jeszcze rozwija, a jedynie na pomoc Pana Zastępów liczy [1])...

(Przez całą swą młodość, przez cały okres swej militarnej karyery rossyjskiej, przygotowywał się on na żołnierza sprawy narodowej. Nikt już dzisiaj nie jest mocen obliczyć ile chwil wśród samotnej a pracowitej młodości pracował w głębi ducha swego nad zdobyciem dróg, któremi duch jego kroczyć miał, by wyrobić wielki „hart duszy", „który sprawi, że nie wyda ci się niepodobnem to, co jest koniecznem, co jest nakazanem, chociażby było najtrudniejszem; sprawi też i to, że w powodzeniu nie zapędzisz się, nie zaślepisz się, nie zaniedbasz się, a w niepowodzeniu nie upadniesz na duchu [2])"...)

Tak on „hart duszy" rozumiał i takim opancerzony był, zbliżając się do kraju, który patrzał na przeddzień pamiętnych wypadków.

(Wypadki szły szybko; w dniach niewielu przeżywano całe lata; nadeszły chwile stanowcze, do których Edmund Różycki był przygotowany.

Widząc jak wypadki z niezmierną szybkością rozwijają się, jak wielkiem podniesienie ducha narodu, jak trudnem byłoby bezwątpienia wstrzymanie rozexaltowanych mas od orężnego wybuchu,

---

[1]) Patrz broszurę pod tyt.: „O charakterze żołnierza polskiego". Lwów 1878 r., str. 13, 14.

[2]) L. c.

on go przewidział i nim przystąpił do robót konspiracyjnych, prosił o dymissyę z szeregów wojsk rossyjskich. Przedewszystkiem w jego charakterze, usposobieniu, prostota i prawda, na każdym niemal kroku głównie się uwydatniają. Już za dni pobytu na Kaukazie, drogą rozmyślań, pracy wewnętrznej, drogą ciągłego duchowego udoskonalania się, doszedł był do przekonania, iż jedynym gościńcem prowadzącym do wskrzeszenia Polski jest „prawda we wszystkiem"... We wszystkich więc swych czynach, słowach, w całem zachowaniu się uwydatnia on ową „prawdę", która jest jakby godłem jego życia. „Mówiono o nim, iż jest milczący, spokoju pełen, zamknięty w sobie, unikający kobiet, obojętny niby na wszystko otaczające; lecz skoro o jego ucho obiją się wyrazy „Bóg" lub ojczyzna" — zapał tryska mu z oczu, które nabierają niezwykłego blasku, staje się wymownym, porywa w dyspucie słuchacza, następuje w nim metamorfoza gwałtowna a stanowcza"... Tak streszczał jego duchowy wizerunek przyjaciel i wieloletni świadek na tułactwie jego życia; takim widział go piszący niniejsze wspomnienie przed wybuchem Styczniowego powstania i wnet po wybuchu, takim znali go i cenili Rossyanie na Kaukazie, zarówno koledzy jak i zwierzchnicy.

Człowiek wyznający przedewszystkiem prawdę, nie znoszący w niczem ani cienia fałszu, rzecz naturalna, iż nie mógł w sposób tajemny opuścić szeregów rossyjskich, nie mógł zejść ze swego wybitnego, militarnego stanowiska, rozcinając pokryjomu węzły, łączące go z wojskową zwierzchnością,

z rządem rossyjskim, przeciw któremu miał zamiar wprędce wystąpić... Prosił o dymissyą w r. 1862, i ją otrzymał.

Opuszczenie dobrowolne, i tak niespodziane dla zwierzchności wojskowej, stanowiska nader wybitnego, opuszczenie drogi świetnej, militarnej karyery, przez oficera ukształconego, uzdolnionego, jeszcze młodego, a tak już otoczonego zaszczytami, co rokować mogło, w przyszłości blizkiej, jeszcze świetniejsze wyniesienie się — wprawiło w zdumienie generała dywizyi, pod którego rozkazami służył Edmund Różycki. Zapytał go przeto generał, prosząc o wytłumaczenie pobudek, które go skłoniły tak nagle a wcześnie do opuszczenia pola militarnej karyery... — „Chętnie — odrzekł młody szef sztabu — odpowiem na pytanie p. generała. Co nie byłoby właściwem do przedstawienia urzędowego panu, jako naczelnikowi, powiem mu poufnie, jako człowiekowi honoru. — Generał dał znak, iż pragnie, by mu wszystko szczegółowo wyłuszczył, a on rzecz swą w ten sposób dalej prowadził. — „Burza się zbliża, atmosfera jest duszną, wszyscy odczuwamy, iż jesteśmy w przeddniu jakiejciś katastrofy... Polska lada chwila może powstać; a wówczas, gdybym pozostał pod sztandarem nieprzyjacielskim, jaką byłaby moja pozycya?... Stojąc wśród dwóch sprzecznych obowiązków, żołnierza rossyjskiego i obowiązków syna Polski, ażalibym mógł spełnić sumiennie jeden z owych obowiązków, nie zdradzając drugiego? Zastanów się nad tem, panie generale, i powiedz, czy nie mam słuszności?“...

Gdy mówiący zamikł, generał w zamyśleniu przeszedł się kilkakrotnie po pokoju, a po chwili wyciągnął dłoń ku niemu i rzekł głosem wzruszonym: „Tak, najzupełniejszą masz słuszność... Ale — dodał później — powiedz mi pułkowniku, cóż robić teraz zamierzasz?... Zapewne zamkniesz się wśród wiejskiej ciszy, udasz się do swych dóbr? — Nie mam ich wcale... brzmiała odpowiedź. — A więc?... zawołał generał. — „Wszędzie znajdę możność zapracowania na kawał chleba... Oto teraz okolice tutejsze potrzebują geometrów, regulacya stosunków włościańskich wchodzi w życie; mam więc pod ręką zatrudnienie dające chleb na razie“...

Mając po otrzymaniu dymissyi wszelką swobodę działania, wszedł on na pole robót przygotowujących ruch zbrojny w okolicach zabużańskich. Mówiliśmy, na pierwszych kartach wspomnienia niniejszego, jak radośnie w owych chwilach żywioły dążące do ruchu powitały go, jak w myśli już go stawiano na czele, jak żądano, by prowadził do boju, do zwycięztw, ówczesne pokolenia, podobnie jak to czynił jego ojciec z ich ojcami.

Marzenia, przynajmniej w tym zakresie, nader szybko iściły się. Widzimy go biorącym czynny udział w pracach przygotowawczych. Organizacya Królestwa, dążąca do prędkiego wybuchu w Kongresówce, pragnęła i ziemie Wołynia, Podola, Ukrainy wprządz do rydwanu swych zamiarów. Aby zaś pod tym względem być pewnym, wysłano we wrześniu 1862 r. do Kijowa — głównego centrum robót spiskowych — Stefana Bobrowskiego, który sprzągł ścisłemi arkany roboty sprzysiężeń zabu-

żańskich z tak zwaną „Organizacyą“ w Kongresówce. W Kijowie stanął „Wydział“ ziem ruskich, co miał kierować naczelnie wszystkiemi robotami przygotowań powstańczych; poddał się on „Komitetowi Centralnemu“ w Warszawie, i, w imieniu swych spiskowych, zobowiązywał się podnieść sztandar walki, skoro jej dzień zaświta krwawą łuną nad polami Kongresówki.

Zobowiązania co do walki wspólnej tem łacniej, zdaje się, przyjęto, że nie przypuszczano, by Kongresówka tak szybko po broń sięgnęła.

W „Wydziale Rusi“ nowokreowanym, Edm. Różycki objął jedno z trzech stanowisk; drugie dostało się powszechnie cenionemu professorowi Kijowskiego uniwersytetu, dr. Iz. Kopernickiemu; a na trzeciem krześle widzimy człowieka lat starszych, ale znacznym mirem wśród młodzieży cieszącego się, X.

Edm. Różycki, chociaż otrzymał stanowisko w Kijowie, Żytomierza na czas dłuższy nie opuszczał. W Żytomierzu wchodził do Zarządu Wołynia i uprawiał stosunki ze szlachtą bliższych okolic, gdzie w całej mocy żyły jeszcze tradycye „pułku jazdy wołyńskiej“, zorganizowanego przez Karola Różyckiego, w r. 1831. Tężsame okolice, które były miejscem powołania oddziału Karola Różyckiego, zorganizowały pułk „jazdy wołyńskiej“ pod Edmundem Różyckim.

Zimę z r. 1862 na 1863 przepędza on w Żytomierzu, w cichem zaciszu, na jednej z nowo-przeprowadzonych wówczas ulic, poza teatrem. Lokal maluczki, z jednego pokoju i przedpokoju złożony

nieustannym był celem pielgrzymek, również tych, co skłaniali się do propagandy ruchu zbrojnego, jak i żywiołów umiarkowanych, a nawet najbardziej konserwatywnych wśród szlachty bliższych i dalszych okolic. Jedni przybywali ze sprawozdaniami, inni po instrukcye, a najczęściej by grunt zbadać, powziąść języka i, opierając się na wieściach w przelocie w mieście gubernialnem złapanych, rozprawiać a politykować w powiecie. Z odwiedzającymi interessantami załatwiał sprawy szybko; zdaje się, że to nie była rola właściwa jego usposobieniu; unikał więc jej, o ile zdołał. Jeżeli zaś usunąć się nie mógł od spraw administracyjnych, jeżeli potrzeba było rozwinąć powagę władzy, umiał być wobec polityków wiejskich nader stanowczym. Wiemy, iż pewnego rokoszanina z powiatowej organizacyi, wezwawszy do Żytomierza, z dziwną szybkością jednem słowem napomnienia do porządku przyprowadził. Skoro raz organizacya tajemna zajęła stanowisko swoje w robotach przygotowujących powstanie, które miało stać się echem wypadków, zbliżających się w Kongresówce, nie pozwalał on urzędnikom organizacyi schodzić z rzeczonej drogi; spotykały się bowiem indywidua, na różnych, nawet na wyższych szczeblach sprzysiężenia stojące, samowolnie zawracające na inne drogi w chwilach stanowczych, w przededniu wybuchu. O ile wiedział o wypadkach tego rodzaju, o ile jego głos mógł dosięgnąć paraliżujących ruch zbrojny w chwilach stanowczych, wstrzymywał ich i zwracał na drogę dobrowolnie przyjętych zobowiązań.

W pierwszych dniach grudnia 1862 r. odbywał Edmund Różycki, wraz z Ant. Cham., podróż do Warszawy: chodziło o wyrozumienie ostateczne zamierzonych działań tamecznej, przedpowstańczej konspiracyi. Podróż trwała dni kilka zaledwie. Wrócono z twierdzeniem stanowczem, iż konspiracyjne działania stoją na pochyłości prowadzącej do wybuchu...) Przewidywano już wówczas w Warszawie brankę massalną, przewidywano też zarazem, iż ona ostatecznie przechyli szalę przeznaczeń... iż nikt i nic nie wstrzyma wielotysięcznego sprzysiężenia od ujęcia za oręż...

Po sześciu zaledwie tygodniach przewidywania ziściły się...

Nie piszemy w niniejszym szkicu biograficznym zarysu walki ówczesnej, a przeto stajemy zdala od wszelkich roztrząsań, tyczących się robót przygotowujących ruch zbrojny w zabużańskich okolicach. Obecnie jedynie pragniemy nakreślić bodaj ogólne kontury postaci Edmunda Różyckiego i jego udziału w rzeczonej walce.

Wybuch styczniowy w Królestwie rozstrzygnął o zachowaniu się dalszem ziem zabużańskich i zaniemeńskich. Powstanie w rzeczonych ziemiach stało się już tam kwestyą niedługiego czasu.

Walka na Litwie, doryweze wystąpienie w Inflantach były niejako zapowiedzią, iż rychło fala ruchu zbrojnego uderzy o południowe okolice, rozleje się na przestworzach ziem zabużańskich. Usiłowania Edm. Różyckiego wstrzymywały wybuch

w rzeczonych ziemiach do chwili przygotowań zupełniejszych, do dni późniejszej wiosny, gdy działania powstania wołyńskiego będą mogły być skombinowane z ruchami oddziałów galicyjskich, które wkroczyć miały z Galicyi na Wołyń, pod generałem Józefem Wysockim. Do tych planów Wysockiego zastosowywał się i termin wybuchu na całem Zabużu.

Spiskowe prace na Zabużu prowadzono przeważnie powoli, i jeżeli gdzie spotykano tam żywioły, które od dołu do góry parły, by przyspieszyć wybuch, to jedynie wśród niektórych kół młodzieży uniwersyteckiej w Kijowie. Koła te już w lutym marzyły o jakimciś dorywczym czynie w samym Kijowie, i głównie wdaniu się Ed. Różyckiego zawdzięczać należy, że nie przyszło do urzeczywistnienia myśli pełnej hazardu.

Przygotowania powstańcze prowincyj zabużańskich na papierze, w sprawozdaniach rozmaitych funkcyonaryuszów organizacyi, okazywały się wielkiemi, rzeczywistość zaś była inną. Toż samo spotykano w Królestwie. Ludzie często zawodzili; a wróg, wybornie świadomy, iż wybuch zbliża się, rozwinął cały szereg swych sił, środków, zabiegów, by unicestwić powstanie w samym zawiązku. Dowiedzioną rzeczą, że władze nieprzyjacielskie na Zabużu, wiedząc o mającym nastąpić tam wybuchu, i pracując na drodze propagandy ludowej w celu sparaliżowania ruchu, pragnęły spiesznego rozwiązania katastrofy. Spisek był dla nich niewiadomą, która w oczach niektórych wśród nich do rozmiarów zbyt wielkiej siły urastała, naturalną

przeto stawało się rzeczą, iż tę niewiadomą pragnęli zamienić na ilość znaną, wiadomą. Niepewność ich przytłaczała, coprędzej więc chcieli wyjść z tej dziedziny ciemności: wybuch miał być dla nich promieniem, oświecającym sytuacyę. Obie strony przygotowywały się w cichości do chwili stanowczej. Spiskowi dążyli do uzupełnienia przygotowań, rząd najezdniczy w cichości podniecał namiętności ludowe.

Stanowcza chwila rychło nadeszła. Po tajemnych zabiegach obu stron w marcu i kwietniu, zaświtał dzień 8 maja, oddawna zapowiedziany, i już od początku kwietnia w sferach zwierzchności spiskowej znany, jako chwila zamierzonego wybuchu. Różycki wczesną wiosną odbywał tajemną podróż za kordon austryacki, gdzie zjeżdżał się z generałem Józefem Wysockim, i tam we wsi Sidorówce (siedzibie Adama Pajgierta), po naradach, uchwalono termin wybuchu na 8 maja dla ziem Wołynia i Ukrainy.

Dzień 8 maja, 1863 r., zastał Edm. Różyckiego na stanowisku, które zakreślał mu plan działań na Zabużu; zastał o kilka mil na zachód od Żytomierza, w lasach cudnowskich. Na kilka dni przedtem, a mianowicie dnia 3 maja, w Żytomierzu go jeszcze widziano, gdy żegnał odjeżdżającego do Warszawy tego, który miał być łącznikiem między organizacyą powstańczą Zabużańską, a głównem kierownictwem powstania, mającem właśnie wtedy, po dniach dziesięciu, przekształcić się na Rząd Narodowy. W czasie owego pożegnania przyszły wódz jazdy wołyńskiej pełen był wiary w walkę, do

której wtedy właśnie oręż z pochwy wyjmował. Wiarę swą jak zawsze opierał na tej prawdzie, iż „los bitew w ręku Pana Zastępów“, że „Bóg często siły użycza i tym, co słabi z pozoru“... i w owej chwili, podobnie jak później, jak w ciągu życia całego, wiara jego streszczała się w słowach, które nakreślił w liście do pewnego młodzieńca (w r. 1878): „Z pomocą Bożą, w czas Boży, bez wahania się będziemy mogli pójść w szczupłej garstce na milionową teraźniejszą armię moskiewską; bez tej pomocy, bez tej opieki, i w trzy miliony przegramy przeciw stu koni [1])“. Zwycięztwo mienił łaską Bożą; a przeto o rzeczonej łasce i jej nabyciu tak się wyrażał, w wyżej przytoczonym liście: „Przyłóżmyż się całą duszą, robiąc to, co nam Bóg w obowiązkach naszych nakazuje, do pozyskania tej łaski najwyższej, niezbędnej nam do oswobodzenia tak biednej, a tak ukochanej przez nas ojczyzny naszej [2])“...

W przeddniu wybuchu powstania na Zabużu, t. j. d. 7 maja, we czwartek, zbierały się małe jezdnych gromadki, na uroczysku nazywającem się „Pustocha“, w lasach Karpowieckich. Z tych maluczkich konnych i zbrojnych gromadek urość miał ów nieliczny, ale mężny i karny pułk jazdy wołyńskiej, który pod ubóstwianym swym wodzem Edmundem Różyckim, wśród licznych zastępów wojsk nieprzyjacielskich, wśród ogólnych klęsk

[1]) Patrz broszurę pod tyt.: „O charakterze żołnierza polskiego“. Lwów 1878.

[2]) l. c.

powstania, szerzących się dokoła, zdołał utrzymać się trzy tygodnie na Wołyniu, zdołał okryć się sławą na polach Salichy, i nie uległ ani razu porażce, ani na chwilę prąd trwogi nie przebiegał jego szeregów. Do takiego wyższego moralnego poziomu mało urastało ówczesnych oddziałów powstańczych; niewiele wśród nich liczono takich, któreby mogły na liście swej służby bojowej posiadać słowa tak wielkiego uznania, jakie potomność zapisuje na karcie wspomnień o pułku „jazdy wołyńskiej“ generała Edm. Różyckiego.

„Pustocha“, uroczysko, w okolicy wioski Karpowiec położone, zaliczało się ongi do województwa Kijowskiego, pow. Żytomierskiego. Tam się zebrały i usztyftowały pierwsze kadry jazdy wołyńskiej; ztamtąd, nazajutrz po usztyftowaniu, wyruszyły one, licząc zaledwie szóstą część owej ilości, na jaką podczas doby przygotowań liczono. Spodziewano się, że oddział ten naczelny stanie odrazu we dwanaście setek, natomiast dwustu zaledwie konnych w dniu pierwszym widziano. Podobnych niespodzianek, zawodów i rozczarowań na każdym kroku niemało spotykano; ale niemi ludzie tej miary, co wódz owej jazdy wołyńskiej, zrażać się nie mogli i nie zrażali. Były to początki, mające wkrótce uróść i rzeczywiście urastały one, a cała jazda miała być tylko cząstką owych oddziałów, co się tworzyły na Wołyniu wschodnim i ku Kijowszczyźnie pod Ciechońskim, Chranickim, Krzyżanowskim i innymi, a również i tych, które z Galicyi, pod gen. Józefem Wysockim, lada chwila spodziewanemi były. Czynności Edm. Różyckiego najzupełniej

zależnemi być miały od wejścia Wysockiego, z którym wspólnie działać zalecały plany i uchwały, z nim w Sidorówce, jak już wyżej wskazaliśmy, przedyskutowane [1]).

Obóz Rożyckiego, zatoczony na leśnych polanach „Pustochy“, odosobnionym nie był: tworzyły się, lub, wedle planów i sprawozdań, tworzyć się miały poza nim, i w dalszej odległości, po obu jego skrzydłach, mniejsze i większe oddziały, gromady i gromadki zbrojne pod Borowskim, Piotrem Chojnowskim, Jul. Święcickim, Władysł. Henszlem, Zielińskim, Krzyżanowskim, Ciechońskim, Romualdem Olszańskim, Chranickim. Nad całą plejadą owych szyków powstających Ed. Różycki naczelną posiadał władzę; sam zaś wówczas zależał od generała Józefa Wysockiego, co wszakże wkrótce zmienionem zostało.

Los mieć chciał, iż prawie wszystkie te oddziały, z wyjątkiem trzech — Krzyżanowskiego Chranickiego i Ciechońskiego — na dnie, a nawet omal nie na godziny istnienie swe liczyły — ale, w pierwszych chwilach swych operacyj, Różycki o ich

---

[1]) Dając ogólny zarys ruchów i potyczek „jazdy wołyńskiej“, pod Edm. Różyckim na Wołyniu działającej, w maju 1863 r., opierałem się jedynie na nielicznych wskazówkach lakonicznego streszczenia rękopiśmiennej pracy o tym przedmiocie, b. oficera armii austr. Jana Winnickiego, i na relacyi p. Anz. Zaruskiego. Prośby moje o bliższe wskazówki, do paru innych uczestników owych walk przesłane, pozostały bez odpowiedzi... Ubóstwo źródeł, mniemam, iż spowodowało pewne, mimowolne niedokładności.

opłakanych kolejach nie wiedział, lub jeszcze nie dosięgnęły ich były klęski ostateczne.

Pułk jazdy wołyńskiej, czyli jak go pospolicie nazywano „oddział Różyckiego“, po ostatecznem swem sformowaniu się, liczył 850 ludzi: t. j. składał się z pięciu szwadronów kawaleryi (w każdym szwadronie widziano od 140 do 145 głów) i 150 piechoty [1]). Obóz składał się z 85 furgonów. Piechota — jak twierdzi świadek naoczny — pełniła przeważnie służbę przy furgonach, czynną zaś była jedynie w chwilach stanowczych, podczas gwałtownej potrzeby [2]).

Jednocześnie z usztyftowaniem rzeczonego pułku, który mieniono też niekiedy „pułkiem jazdy ziem ruskich“, Edm. Różycki otrzymał od Rządu Narodowego stopień generała, którym to tytułem nazywać go odtąd będziemy w dalszym ciągu niniejszego wspomnienia.

Przy boku generała widziano sztab bardzo nieliczny: szef pułku, komissarz Rz. Nar. Stanisław Dunin, kapelan x. Eustachy Szczeniowski (nieodstępujący wodza ani na chwilę) i adjutanci — Aleksander Frankowski, Sierzputowski i Józef Miaskowski. Wśród grona oficerów byli: August Mazewski, Prozor, Machczyński, Konopacki, Szaszkiewicz, Klukowski — jako dowódzcy szwadro-

---

[1]) Piąty szwadron składał się ze 120 głów.

[2]) Posługujemy się tu uprzejmie nam zakomunikowaną relacyą naocznego świadka, p. Anzelma Zaruskiego, wołyniaka, który służył pod Ciechońskim, a po rozbiciu szeregów Ciechońskiego, dzielił losy oddziału Różyckiego; walczył w stopniu podoficera pod Salichą.

nów — Jan Burzyński, Henryk Pięgłowski, wśród innych, dowodzili plutonami [1]).

Trzy tygodnie zaledwie trwać mająca wyprawa oddziału gen. Różyckiego rozpoczęła się marszem d. 8 maja, 1863 r., ze wspomnianej wyżej „Pustochy“ i głównie skierowywała swe siły ku zachodowi, zkąd miały nadejść, jak już zaznaczono, posiłki galicyjskie, pod gen. J. Wysockim. Pierwsze kroki „jazdy wołyńskiej“ szły w kierunku rzeki Słuczy, którą przebyto w miasteczku Lubarze, i sam Lubar, bez oporu prawie żadnego załogi, zajęto w tymże dniu. Załoga wzięta do niewoli została wypuszczoną z rozkazu generała. W Lubarze „jazda wołyńska“ miała przed sobą dnie pełne nadziei: z poza kordonu spodziewano się na pewno znaczniejszych sił powstańczych, podczas gdy pod bezpośredniem naczelnem dowództwem generała tworzyły się, lub już były utworzone szeregi piesze, pod kierownictwem pułkowników Ciechońskiego i Chranickiego. Ostatni mienić się mógł skrzydłem prawem, w niezbyt dalekiej odległości dążącem ku niższemu biegowi Słuczy, prawie równolegle z „jazdą wołyńską“, a Ciechoński tworzył niby przedmurze tych sił, oparte o lasy tak zwanego „Cwetu“ (jedynej większej na Wołyniu puszczy, połączonej z pasmami lasów, a wreszcie trzęsawisk Polesia), zachowując ciągłe czucie z oddziałem generała. Ciechoński, wraz z partyzantami Chra-

[1]) Podczas trzytygodniowej kampanii, zmieniały się zapewne stanowiska służbowe oficerów, my tu podajemy bardziej znane lub upamiętnione nazwiska, nie możemy jednak z całą ścisłością wskazać ich stanowisk w szeregach.

nickiego i Rudnickiego, posiadał siły omal nie przekraczające liczbą sił Różyckiego; zwłaszcza Ciechońskiego oddział co do ilości poważnie stawał, stosunkowo do ówczesnych okoliczności i warunków. Liczył on, po przyłączeniu się dwóch tylko co wspomnianych dowódzców, około 700 głów nieźle uzbrojonej piechoty i dwa szwadrony jazdy. Piechota posiadała 500 strzelców z dubeltówkami i myśliwską bronią dość dobrą — niekiedy kosztowną — tudzież dwieście kos, razem 1000 żołnierza, jak na powstańca dość dobrze uzbrojonego; młodego wprawdzie, dopiero ćwiczącego się, pod naciskiem zbliżającego się zewsząd nieprzyjaciela; może niezbyt karnego, ale niemniej pod względem moralnym bardzo wysoko stojącego. Zapału, szczególniej wśród młodzieży uboższej powiatu Zasławskiego, wśród oficyalistów tamecznych dóbr, było bardzo dużo. Z takiego materyału umiejętna dłoń uczynić mogła wiele, byleby stosowny czas zdołał się znaleść; na nieszczęście, czas się ten nie znalazł: Ciechońskiego kadry, zaledwie wytworzone, porażono na głowę, zanim dłoń gen. Różyckiego zdołała wytworzyć z tego dobrego materyału siłę pożyteczną.

Rozbicie Ciechońskiego zaszło później, w dziesięć dni po zajęciu Labaru przez jazdę wołyńską; lecz wówczas, gdy Różycki nad Słuczą stawał, nie było mowy o klęskach: przed Słuczą wszystko zdawało się rokować dni stosunkowo pomyślne; o porażkach, o krwawych scenach Sołowiówki, o rozbestwieniu ludu, o wytwarzaniu przez policyę i popów nowej Koliszczyzny, co wszystko ku wscho-

dowi, poza Słuczą, po dniach paru, lub niewielu godzinach miało mieć miejsce — jeszcze nie wiedziano. Owszem, były to czasy najszerszego rozwoju powstania na całej przestrzeni dawnej Polski w zaborze rossyjskim, podczas gdy inne dwa zabory niosły mu pomoc skuteczną, a generał jazdy wołyńskiej ze słuszną dumą mógł spoglądać na szyki nieliczne, lecz karne, i oddane swemu wodzowi całą duszą.

Żywioły, z których składała się owa jazda, do celniejszych pierwiastków ówczesnego społeczeństwa zaliczały się. Rekrutowała się ona ze szlachty tego zakątka ukrainno - wołyńsko - podolskiego, który niegdyś dostarczył wiarusów do pułku jazdy Karola Różyckiego, a zawsze obfitował w szlachtę o zacięciu żołnierskiem, o bujnej fantazyi, przypominającej dawną przeszłość stepowego rycerstwa. Rycerska fantazya, cechująca oddział Różyckiego, wyróżniała go nietylko z tego wszystkiego, co było powstaniem na Zabużu, ale ze wszystkich innych sił ówczesnego zbrojnego ruchu. Widziano w szeregach tej jazdy wołyńskiej niemały procent ziemian, ludzi lat starszych, pewnego życiowego doświadczenia, obok dużej liczby młodzieży szlacheckiej i wieśniaczej: wśród pierwszej spotykano młodzież wykształceńszą, niemniej zaś znaczny zastęp uboższej, rekrutującej się z warstw nader patryotycznych oficyalistów, dozorców gospodarstw większych; a druga połowa młodzieży — to kozacy dworscy zamożniejszych ziemian, lud bitny i bardzo roztropny, to kontygens czeladzi dworów szlacheckich. Pierwiastek ludowy był tam

więc dość licznie reprezentowany i, obok mowy i komendy polskiej, brzmiała tam często mowa rusińska; piosenka rusińska często unosiła się nad szeregami, język rusiński brzmiał często w obozie, a miano serdeczne, pod którem w obozie znano wielce kochanego wodza, nie inne było jak Batko. Patrzano na Batka okiem prawdziwie synowskiej miłości, która stała się cementem karności, podwaliną posłuchu i poddawania się zupełnego rozkazom wodza.

Dajemy tu głos jednemu z żołnierzy jazdy wołyńskiej, który, po trzydziestu latach, na mogile generała składa taką relacyę o ówczesnych stosunkach obozowych i karności w szeregach:

„Kto raz go poznał — mówi ów szeregowiec, bojownik z pod Salichy — ten musiał go serdecznie kochać i wysoce szanować... W obozie nazywano go powszechnie Batko, i każdy z nas wskoczyłby był w ogień za nim... Generał był w obozie bardzo przystępny dla każdego i nadzwyczaj sprawiedliwy... nazywał nas wszystkich braćmi [1]“...

Pełne prostoty echo to czasów, o których mówimy, najlepszem świadectwem stosunków panujących w obozie generała i zarazem rysem wybitnym charakteru człowieka i wodza.

Karność w jego szeregach wielką była, lecz nie groza ją wytwarzała; płynęła ona z wyższych pobudek. Rozróżniał on karność w innych wojskach i u innych ludów, od karności, jaka w powstańczych szeregach ma panować... „Powołani

---

[1]) Relacya p. Anz. Zaruskiego.

jesteśmy — mówił on — wyrabiać w sobie karność inną, a daleko wyższą drogą, nie przez strach ludzi, a przez bojaźń Bożą; nie pod grozą, a z własnej woli, przez miłość dla Boga, dla prawdy, dla ojczyzny [1])“...

Stojąc nad brzegami Słuczy, generał miał po obu swych skrzydłach nieprzyjaciela, w mniejszej lub większej odległości: na prawem, w Miropolu, Baranówce, Zwiahlu; w dwóch ostatnich miejscowościach artylerya; na lewem zaś, ku Podolowi, piechota i dywizya kawaleryi (ułanów) gen. de Doullier; od czoła nagromadzono znaczne siły w Star. Konstantynowie, których późniejszem zadaniem miało być osaczanie, oskrzydlanie i zamknięcie przejścia Różyckiemu. Szedł on dość wolnym marszem, przez Giżowszczyznę, Derewicze, ku Połonnemu. W każdej z większych osad zebranemu ludowi odczytywano tak zwane Złote Hramoty, zapewniające wieśniakom to, co manifest Komitetu centr., z dnia 22 stycz. 1863 r., w chwili wybuchu wieśniakom nadawał. Lud nie dość, iż chętne ucho dawał owym ogłaszaniom, ale był przykład, że odwoływał się do powagi generała, gdy po przejściu oddziału stosunki pańszczyźniane natychmiast nie zostały rozwiązane. Tak więc w dobę, czy nieco później po opuszczeniu Giżowszczyzny, widziały tylne straże oddziału Różyckiego pędzących dwóch

---

[1]) Patrz broszurę: „O charakterze żołnierza polskiego“ Lwów, str. 8.

chłopów na spienionych koniach. Wstrzymano dopędzających. „Czego chcecie?... pytano. — „My do p. generała, aby mu się poskarżyć, iż po dawnemu u nas... pan nic nie zmienia“...

13 maja jazda wołyńska zajęła miasteczko Połonne, niegdyś twierdzę dawnej Rzplitej, już za dni kampanii 1793 r. spustoszoną i niezdatną do obrony. Załoga mała, nieprzyjacielska, umknęła z miasteczka, zostawiając składy efektów wojskowych. Parę dni oddział tam organizował się, otrzymał posiłki ściągnięte z obozu Ciechońskiego; kuł swe lance, przygotowywał się do dalszych spieszniejszych marszów, do cięższych niewczasów, do obfitego krwi przelewu. Podczas parodniowego pobytu w Połonnem, widziano Mszę św. polową odprawioną w obozie: zrobiła ona niemałe wrażenie na młodym żołnierzu i mieszkańcach, marzących o bliskiem zmartwychwstaniu ojczyzny.

Generał znał już dobrze odwagę i gotowość bojową swego żołnierza, pragnął wszakże wypróbować przybyłe szwadrony z pod Ciechońskiego. Wydał więc rozkaz, aby powołano ochotników do mającej się utworzyć wycieczki na ukrytego w blizkiej okolicy nieprzyjaciela: był to fałszywy alarm; przyniósł atoli pożądany rezultat. Z ostatnim wyrazem odczytanego rozkazu dziennego, gdzie dobitnie wypowiedziane były złowróżbne słowa: „być może, iż z was ani jeden nie wróci“... całe szeregi ochoczo stanęły do apelu... „Każdy, mówi wyżej cytowany uczestnik owych chwil bojowych, z prawdziwą dumą żołnierza miał czoło wypogodzone... cisza zapanowała jak w świątyni“... Przenikano się

do głębi uczuciem świętego zapału do spełnienia powinności... „A tego wrażenia — mówi on dalej — jakie na nas wywarły słowa generała, jako nagroda za męstwo do nas wypowiedziane, nie zapomnę do śmierci... Oto, w chwili gdy wszyscy oczekiwali dalszych rozkazów, przybył przed nasz front sam generał, z wypogodzoną twarzą i zawołał z widoczną radością a donośnym głosem: „Dziękuję wam, bracia! Dziś daliście dowód, iż godni jesteście praojców naszych, którzy nigdy nie stawali tyłem do nieprzyjaciela, lecz przodem. Rozkaz mój wyboru ochotnika był tylko próbą młodego żołnierza, którąście mężnie wytrzymali, jak każdemu żołnierzowi polskiemu przystoi“...

Od sześciu dni manewrował już generał ze swym oddziałem, a Wysockiego sił wciąż nie widziano; nie były one jeszcze gotowe do wymarszu, z powodu opieszałości różnych galicyjskich komitetów, które je sztyftowały. Wieści nadchodzące z Galicyi znać ich prędko nie obiecywały, postanowił przeto Różycki wzmacniać się siłami miejscowemi. Ciągnęły od Żytomierza piesze partye ku dolnej Słuczy; w Miropolu połączyć się z nim miały. Po południu, 15 maja, stanął on pod rzeczonem miasteczkiem, zkąd wobec paru szwadronów powstańczego rekonesansu, wycofali się kozacy: obóz swój rozwinął pod mieściną, i nazajutrz, o świcie, był atakowany przez siły nieprzyjacielskie, nietyle przeważne jak wyborowe; składały się bowiem z 4 kompanij finlandzkich strzelców, o broni nader celnej, i ze znacznej liczby kozaków. Piechota Różyckiego chwilowo wstrzymywała nacisk na mia-

steczko, lecz liczbą zbyt słaba, cofnęła się — a nieprzyjaciel, usadowiwszy się w miasteczku, raził skutecznie powstańców: poza palącą się mieściną wywiązał się bój, który dla jazdy wołyńskiej pierwszym się stał chrztem krwi. Generała widziano jak pełen zimnej krwi spieszył na zagrożone pozycye, jak pod gradem kul stawał i, przypatrując się celnym strzałom nieprzyjaciela, mówił, ze swym zwykłym, dobrodusznym uśmiechem: „Finlandzcy strzelcy dobrze strzelają“... Dla braku stosownej ilości piechoty, gdyż spodziewane oddziały nie nadciągały, w porządku cofać się zaczął, co naraziło nieprzyjaciela na znaczne, nieprzewidziane straty. Kawalerya nieprzyjacielska, z kozaków złożona (pod dowództwem pułkownika Gołubowa), mniemając, iż odwrót Różyckiego będzie popłochem, śpiesznie wysypała się z miasteczka, wielką massą zapełniając przestrzeń otaczającą powstańcze stanowiska. Generał natychmiast dał rozkaz szarży czterym szwadronom, i, po chwili, kozacy byli rozbici, zasypując wejście do gorejącego miasteczka swemi licznemi trupami.

Nie doczekawszy się sił pieszych, ciągnących z niemałym wysiłkiem od Teterowa ku Słuczy, generał ze swą jazdą podążył w okolice bardziej rozwarte, ku powiatowi Starokonstantynowskiemu, zbliżając się zarówno ku Podolowi jak i kordonowi austryackiemu, z poza którego ów spodziewany Wysocki jeszcze nie nadciągał. Po opuszczeniu dnia 16 maja, ku wieczorowi, pozycyi pod Miropolem, generał, około Siahrowskich karczem, przez Swinnę, Macewiczki, Kustowce i Worobijówkę,

podążył, zbliżając się ku okolicom Ostropola. Tam, przy Worobiejowieckich karczmach, zaszła potyczka, która dała powstańcom 36 jeńców, broniących się w owych karczmach (19 maja). Na dobę przedtem zastępowano naszemu wodzowi drogę pod Kustowcami; lecz pościg nieprzyjacielski był zmylony, a jazda wołyńska, bez żadnych poważniejszych przeszkód, przeszedłszy Ostropol, stanęła znowu poza Słuczą, już w dawnem województwie Podolskiem, wśród pól rozwartych, na uroczysku noszącem miano Hanczarychy, a leżącem na gruntach wsi Ihnatek.

Uroczysko Hanczarycha, upamiętnione w legendach i pieśni ludowej, ma do swej doliny przywiązaną przepowiednię, iż tam stoczony będzie bój krwawy, rozstrzygający pomyślnie wszystkie nasze boje o niepodległość.

Jazda wołyńska na Hanczarysze bitwy nie stoczyła, owszem, miała tam dzień odpoczynku i przyszły jej niejakie posiłki z nadzieją nowych zaciągów powstańczych, jeśli generał zwróci się jeszcze bardziej ku Podolowi. Rzeczywiście pomknął on nieco dalej, ku podolskim rozłogom; przeszedłszy Terespol, Wójtowce, w Mytyńcach, pod Ułanowem, 60 zbrojnych Podolaków, prowadzonych przez dzielnego Szaszkiewicza, powiększyło szeregi naszego wodza. Owi zbrojni Podolacy byli zaciągiem wzorowym, jak wogóle to wszystko co stawało pod sztandarem Różyckiego. Żywioły ludowe, wchodzące do plutonów Szaszkiewicza, posiadały nawet swą piosenkę bojową, rusińską, zdaje się ułożoną przez organizującego ten mały zaciąg.

Posuwanie się poza Ułanów, i zwrot nagły ku północy, w kierunku Lubaru, miało nie tyle na celu wcielenie nowych podolskich zaciągów, ile wogóle podanie dłoni pomocy powstaniu podolskiemu, gdyby ono dawało znaki życia, a wreszcie zmylenie pościgów wojska nieprzyjacielskiego, które w różnych kierunkach prawie na pięty następowało jeździe wołyńskiej, wszędzie o niej słysząc, nigdzie zaś nie mogąc ani jej doścignąć, ani ostatecznie pokonać. Powstanie podolskie wszakże wcale nie istniało, przeto nie było komu podawać ręki pomocy; pojedyncze zaś indywidua, gdy się znalazły na gościńcu marszu generała, łączyły się z nim; lecz tu głównie chodziło o to, aby wśród tych marszów z małemi siłami, doczekać się liczniejszych galicyjskich zaciągów Wysockiego.

Poza Ułanowem pociągnął generał ku Chmielnikowi (d. 23 maja), podczas gdy nieprzyjaciel na jego tyłach szybkim pędem przecinał szlaki przezeń przebyte, i zamykał mu drogę komunikacyi z oddziałami Ciechońskiego i Chranickiego.

Od Chmielnika, do niego jednak nie dochodząc, generał zwrócił się nagle ku północy, w kierunku dawniej zajmowanych pozycyj pod Lubarem i temsamem stawał frontem ku nieprzyjacielowi ścigającemu go; jeszcze marsz jeden przez Steckowce, ocierając się prawie o Krasnopol i Mołoczki, pod któremi niegdyś walczył zwycięzko Karol Różycki, a obóz jazdy wołyńskiej staje w Bratałowie, gdzie dochodzi pierwsza wieść o zupełnem rozbiciu oddziałów Ciechońskiego w Minkowieckich lasach i zgonie ich dowódzcy. Wieść ta hiobowa, głosząca

okropną Minkowiecką porażkę, co miała miejsce przed dwoma dniami zaledwie, tem straszniej brzmiała w uchu i sercu generała, iż jednocześnie zapewne nadeszły wiadomości o wcześniejszej nieco (d. 17 maja) bitwie Miropolskiej, stoczonej przez pułkownika Chranickiego z przeważnym nieprzyjacielem, a zakończonej pogromem powstańców. Każda z relacyj o tych porażkach posiadała niemało szczegółów, świadczących o wielkich rozmiarach klęski i licznych excessach nieprzyjacielskiego żołdactwa.

Po otrzymaniu owych strasznych wieści, za któremi szły groźne echa porażek i ostatecznego upadku powstania w Kijowszczyźnie, jawną stało się rzeczą, iż na całej przestrzeni południowych prowincyj nie było już ani jednego oddziału, oprócz sił jazdy wołyńskiej. Wysocki, na którego przybycie tak napewno rachowano i łączono je z planem całym wyprawy Różyckiego, nie przybywał. Stan rzeczy stawał się coraz bardziej przykry: nieprzyjaciel, po rozgromie innych oddziałów, miał znaczne siły do zgniecenia jazdy wołyńskiej, i wcale się nie spodziewał, aby ona mogła jeszcze zebrać laury na polach Wołynia.

Generała zewsząd osaczano, i nieprzyjaciel z wszelką łatwością zdołałby go zamknąć w pierścieniu swych wojsk, o sile piętnastu tysięcy. Przedrzeć się przez coraz bardziej zwężający się mur bagnetów i dział, ciągnących ku południowym powiatom Wołynia, zdawało się rzeczą niepodobną.

Co jednak dla wielu niepodobnem mienić się mogło, było dla generała Różyckiego zadaniem,

o którego rozwiązanie kusić się chciał, i z całym właściwym sobie spokojem po takowe sięgnął. Dla jego niezaprzeczonych uzdolnień, doświadczenia bojowego, wyniesionego z Kaukazu, dla jego ducha mającego w sobie coś z owych rycerzy, którzy ongi spieszyli, by „zatknąć krzyż na murach Jerozolimy“, coś z tych, co żelazną piersią odtrącali pod Grunwaldem obcy pierwiastek od wód wiślanych, dla brawury tych szlacheckich i chłopskich synów, którzy z nim szli w bój krwawy a nierówny — o rozwiązanie wielu twardych zagadnień kusić się można było.

Wyszedł on z osaczeń nieprzyjacielskich w sposób dziwny a zwycięzki. Już w Bratałowie, gdzie spotkała Różyckiego wiadomość o pogromie minkowieckim, nieprzyjaciel stał tuż, w sąsiednich wioskach (Biezowej i Berezówce), stał w sile, która najzupełniej wystarczała do pokonania jazdy wołyńskiej; lecz o atakowanie nie kusił się nawet: czekał pono rozkazów od wyższej zwierzchności. Różycki od Bratałowa w kierunku Hrycowa poszedł szybkiemi marszy, niezważając na nieprzyjaciela, który prawie ocierał się o jego lewe skrzydło, ale nie nacierał. Przesunął się generał szybko przez Lubar, i d. 24 maja oddział jego nocował w Chrabużnej. Nazajutrz przechodził przez Onackowce, przy których na tyłach pokazali się Moskale, i ci jednak wstrzymali się od natarcia: może to leżało w ich planie, aby następując na pięty powstańcom, wpędzić ich w siecie bez wyjścia. Lecz ów dzień uciążliwego marszu nie przeszedł bez boju, chociaż żadnych dotkliwszych strat nie przyniósł. Mi-

nąwszy Hryców, Małki, Trościaniec i Lisińce, przechodząc około Kośkowa, Pieniek i Butowiec, uznojeni chcieli stanąć obozem pod Łaszkami; Moskwa, której piechota przybyła na podwodach, atakowała ich w okolicy Łaszek i Medwedówki, dość gęsto rażąc tyralierskim ogniem. Odpoczynek przeto był krótki, ale do bardziej stanowczej rozprawy nie przyszło, gdyż zmrok już zapadał i tyralierski ogień nie zdołał wśród ciemności dłużej się utrzymać. W dniu potyczki pod Łaszkami, w godzinach popołudniowych, 48 rozbitków z pod Minkowiec połączyło się z generałem. Była to cząstka szwadronu Klukowskiego, która ze swym dzielnym dowódzcą, idąc przebojem, zbrojną a szczęśliwą ręką wydostała się ze strasznego Minkowieckiego pogromu. Klukowski cały swój szwadron wyprowadzał; lecz gdy obliczył się, po przedarciu się przez ogień nieprzyjacielski, zaledwie 45 pozostało, t. j. mniej niż trzecia część szwadronu. Postanowiono połączyć się z generałem: dążono do niego, błąkając się trzy doby po Zasławskim, Ostrogskim, i Starokonstantynowskim powiatach. Głodni, znużeni, na koniach wycieńczonych, niepokojeni wciąż przez kozactwo, niepewni, w którym kierunku iść mają, by wodza spotkać, wreszcie, na parę godzin przed potyczką pod Łaszkami, spotkali go. Było ich wtedy 48, bo, podczas trzydniowego błąkania się, 3 konnych rozbitków do nich się przyplątało. Generał życzliwie ich powitał, rozpytywał o szczegóły klęski Minkowieckiej, rozpytywał ze zbolałem sercem Klukowskiego, i jego niemniej dzielnych żołnierzy, wśród których był wspomniany tu wyżej Anzelm

Zaruski. Na twarzy generała, mówi ów naoczny świadek, gdy pytał o szczegóły, był „wielki smutek wyryty“, bladość uwidoczniała ból głęboki, acz czoło dla powitania nieszczęsnych, lecz mężnych rozbitków starał się wypogodzić.

Starcie przy Laszkach, prócz kilku rannych, między którymi, przybyły zaledwie przed paru godzinami rotmistrz Klukowski, dostał kulą w strzemię z oderwaniem kawałka buta — nie wyrządziła większych szkód w oddziale. Po tej potyczce jazda wołyńska, bezwzględu na znużenie i ciemność nocy, maszerowała bez wytchnienia, i, omijając Medwedówkę, ciągnęła ku zachodowi. O świcie zaledwie, widząc, że konie strasznie zmęczone, generał pozwolił nieco wypocząć. Wstrzymano pochód idący przyśpieszonym krokiem; nie dłużej wszakże wypoczywano jak dwie godziny.

Z głębi mgły porannej, nad wzgórzami i stawiskami Wołynia, ukazała się wspaniała tarcza słońca. Ranek 26 maja był cichy, pogodny, pełen orzeźwiających aromatów pól i łąk; szeregi zbrojnych szły raźno, wesoło, nie czując znużenia, które, zaiste, było niemałe; echa smutnych przeczuć nie unosiły się ponad kolumnami jezdzców; bezbrzeżna wiara w wodza dodawała wszystkim otuchy, wierzono głęboko, iż z nim zawsze zwycięztwo... pieśń powstańcza zabrzmiała wśród szeregów.

Wszystko dokoła było oblane promieniami wiosennego słońca, pełne niczem niezamąconej pogody, ale baczniejsze oko mogło dojrzeć, że generał

wciąż dawał rozkazy pośpiechu, że hasła komendy coraz częściej przebiegały przez szeregi szwadronów.

Na poważnem obliczu generała nie widziano nic oprócz spokoju, lubo w jego myśli bezwątpienia dużo gościło troski. On czuwał za wszystkich. Wiadomem mu było, iż Moskwa, osaczająca go wciąż, niesie mu cios ostatni. Jeszcze chwila, jeszcze spóźnienie się bodaj półgodzinne, a ów żelazny pierścień nieprzyjacielskich bagnetów, który wciąż ścieśniał się, zamknie mu drogę dokoła... Opóźnienie liczące czas na kwadranse stanowiło o wszystkiem. Generał najzupełniej mógł być lada chwila wparty między stawiska, wody, i zewsząd otoczony bez żadnej możności wyjścia... Doszły do czujnego wodza wieści, iż czoło kolumny nieprzyjacielskiej, atakującej go poprzedniego wieczora pod Laszkami, postępuje tuż za nim, i że mając bezpośrednie czucie z innemi oddziałami wroga, omijanemi przezeń szczęśliwie, podczas uprzednich dwóch dni, zdwaja swe siły, aby z tem większą mocą na jego jazdę uderzyć; że z oddalonego o kilka mil Starego-Konstantynowa, jakby promienie pękającego granatu, wyleciały czterma drogami nowe siły moskiewskie, w celu pościgu powstańców i ich zmiażdżenia; że dążą na wozach, by śpieszniej dójść do celu, że zagrażają od lewego skrzydła i tyłu; że, wreszcie, z nieco dalej ku południowi położonego Międzyboża, pędzi kawalerya gener. rossyjskiego de Doulier, która mogła zabiedz od czoła, chociaż w nieco dalszym punkcie pochodu, że na prawem skrzydle rychło ukażą się roty Duvala,

których bagnety jeszcze nie oschły z krwi pod Minkowcami wylanej.

Wszystko to mu było znanem dokładnie. Ze spokojem wiadomości odebrał, ze spokojem rozkazy wydał, z zimną krwią patrzał w oczy sytuacyi prawdziwie rozpaczliwej. On wszakże nie uważał jej za rozpaczliwą, a tylko poważną.

Zbliżano się ku wsi noszącej miano — Salicha Mała.

Nazwisko, dotąd nieznane, za chwilę stanąć miało na karcie dziejów Wołynia i chlubnie się zapisać obok imienia niezbyt ztamtąd odległych Zieleniec.

Droga szła wzgórzami i u wiejskiego kołowrotu Salichy łączyła się z gościńcem większym, który biegł z lewej strony zbliżających się kolumn. Baczniejsze oko dojrzeć mogło, iż generał coraz częściej, coraz pilniej zwracał się ku lewej stronie. Już czoło powstańczych szeregów wchodziło w owe wiejskie wrota, gdy na gościńcu, z lewej strony do wrót dobiegającym, spostrzeżono wielką chmurę kurzu. Chmura ta posuwała się szybko, coraz szybciej lewym gościńcem, jakby prześcignąć pragnęła przed Salichą szeregi powstańcze. Jeszcze chwila, a już wybornie dojrzeć można było, że to nieprzyjaciel na niezliczonej liczbie wozów pędził, a otaczały go zastępy kozactwa. Błysk bagnetów na wozach wkrótce widocznym się stał. Komenda przebiegała szwadrony powstańcze coraz częściej, coraz szybciej. Poleciały rozkazy do czoła kolumny, aby furgony obozu szły przyśpieszonym marszem,

a cała jazda niemniej kroku dotrzymywała raźnie posuwającym się furgonom.

Stojąc u wrót wioski, można było objąć jednym rzutem oka cały teren, który legł przed czołem kolumn powstańczych... Okolica falista; tuż od wejścia do wioski pochyłość, na której rozrzucona mniejsza część Salichy; u stóp pochyłości staw, rzeczka, poza nią zaś, na wzgórzu, pozostała część wsi; obie połowy połączone mostem. A dalej, za wsią, znowu fale wzgórz okryte zbożem dojrzewającem.

Nieprzyjacielowi wiele zależało na wstrzymaniu powstańców na wyżynach przed mostem i stawiskiem, dałoby mu to możność, przy szczęśliwym dla niego wyniku walki, wrzucenia przeciwnika do wód i trzęsawiska. Ciągnące zewsząd posiłki zapewniały wrogom wynik pomyślny walki. Przezorność generała, obejmującego lotnym wzrokiem całość sytuacyi, przerzuciła pole mającego stoczyć się boju poza wieś, poza most i wodę. Ostatnie trójki szwadronów jazdy wołyńskiej wpadały na most, w chwili gdy piechota nieprzyjacielska, zsiadłszy z wozów, naprędce szykowała się i rozpoczynała ogień karabinowy.

Przeszedłszy wieś, poza jej drugą połową, generał w ten sposób uszykował swój oddział, iż nieprzyjaciel najzupełniej był w błąd wprowadzony co do liczby i zamiarów przeciwnika. Mniemano, że Polacy cofają się, unikając boju. Był to jedynie manewr wodza, który na gościńcu zostawił trzy szwadrony, i z nimi pomału odstępował, w szyku obronnym, podczas gdy inne dwa szwadrony, we

wklęsłościach doliny na skrzydłach ukryte, czekały sygnału bojowego. Nieprzyjaciel rzekomem cofaniem się wywabiony ze wsi na pole, dojrzewającem zbożem okryte, posuwał się zuchwale ku czołu powstańczej kolumny, rażąc ją rzęsistym ogniem i nie zważając, raczej nie wiedząc, co mu na skrzydłach zagraża. Gdy piechota nieprzyjacielska — z 600 ludzi (3 rot) złożona — o 800 kroków od wioski odeszła a mniej więcej na sto kroków zbliżyła się do frontu przeciwnika, ze zdumiewającą szybkością hasła komendy przebiegły szeregi powstańcze — i dwa ukryte szwadrony, pędząc niby huragan stepowy, w ukośnym kierunku, zwartą ławą uderzyły na szeregi nieprzyjacielskie.

Atak był tak gwałtowny, niespodziany, z taką ścisłością i brawurą doświadczonego żołnierza dokonany, iż kolumny wroga w czworobok uformowane zachwiały się; czworobok zmiażdżony — runął. Rozpaczliwemi wysiłki starał się wróg tworzyć nowy czworobok i stawić czoło piorunującemu natarciu... Próżne usiłowania!... Rozpacz wkradła się do serc wroga; walczył on już nie o zwycięztwo, lecz o życie, o ocalenie — zupełna zagłada stała się udziałem tych rot nieszczęsnych... Od dni Zieleniec, w r. 1792, i Pohoryły, w Starokonstantynowskiej ziemi, gdzie Wyszkowski, dążąc do Kościuszki w r. 1794, zabrał Moskalom działa, pola Wołynia nie zlano nigdzie tak obficie krwią nieprzyjacielską jak w ciągu dwugodzinnego boju w ów pamiętny poranek, 26 maja 1863 roku, pod Salichą.

Zwycięztwo było zupełne — obręcz zamykająca drogę generałowi przerwana. Z chlubą piastowany sztandar purpurowy, z orłem białym, powiewał w onym dniu z dumą nad purpurowem pobojowiskiem...

Nie mamy możności opowiedzieć dokładnie o wszystkich obrotach wojskowych owych mężnych zastępów jazdy wołyńskiej w dniu tym dokonanych, które dla fachowego badacza zapewne są główną podstawą zwycięztwa; lecz niektóre epizody, nacechowane prawdziwem bohaterstwem same cisną się pod pióro... Oto uniesiony bojowym zapałem, młody podoficer, Anzelm Zaruski, przedziera się przez czworobok nieprzyjacielski, leci szarżą szaloną, wróg mu obciął lejce, lecz on swym lotnym atakiem przecina całą głębię kolumny nieprzyjacielskiej, zapędza się do rezerwy wroga, ranny i krwią najezdcy oblany, cudem wraca do swoich... Tuż obok inny młodzian, przed dziewiętnastu zaledwie laty zrodzony na niwach Wołynia, Stanisław Żółkiewski, również wichrem boju uniesiony, wpada aż na tylne straże przeciwnika, tam walczy z gromadą liczną wroga, który go osacza, zadaje mu kilka śmiertelnych ran niżej piersi; już nawpół martwy, lecz jeszcze nie runął z konia; ognisty rumak wyprowadza go z ciżby najezdniczej, z wiru walki, i do polskich szeregów przynosi... Wraca młodzian do hufcu swego i tam dopiero pada na dłonie współbojowników...

Siły moskiewskie, uczestniczące w boju, wytępione prawie zupełnie pod Salichą zostały; co nie zginęło — pierzchnęło. Kilkunastu żołnierzy

wzięto do niewoli. Popłoch wśród wroga padł wielki, echo porażki wojska najezdniczego rozbiegło się długiemi promieni po sąsiednich powiatach. Nieprzyjaciel, zawsze o Różyckim z uznaniem mówiący, jeszcze większym otacza go szacunkiem, a zastępy jego w swem mniemaniu do kilku i więcej tysięcy podnosi.

Bitwa pod Salichą, rozpoczęta o godzinie 9. zrana, około 11 już była skończoną. Pobojowisko stało się krwawym łanem, na którym trupy i ranni obu walczących obozów wielkiemi gromadami spoczęli. Straty naszych, stosunkowo do zdobytych korzyści, małemi nazwać wypada. Obliczano je na czterdziestu kilku, zabitych i rannych. Pierwszych liczba nie przekraczała 22; wśród których widziano: Dobrzyckiego, Hołubskiego, Niepokojczyckiego, Pawłowskiego, Podgórskiego, Żółkiewskiego [1]).. Moskale stracili około 350 w poległych i rannych; przeważnie wśród ich strat byli ranni, których przywieziono do szpitala w Starym-Konstantynowie na 85 wozach. Z poległych w ich szeregach widziano oficera Łomonosowa, a kapitan Michnow cały bój przesiedział pod mostem, chroniąc tam swe życie. Po powstaniu, władze rossyjskie, za owo

---

[1]) Podgórski był synem pisarza w zarządzie gminnym wsi Kośkowa (w pow. Zasławskim). St. Żółkiewski synem ziemian tegoż powiatu, a wówczas uczniem uniwersytetu Kijowskiego. Notujemy drobne te szczegóły dla wskazania z jak różnorodnych żywiołów społecznych składały się szeregi hufców Edm. Różyckiego, zawsze karnych, zawsze mężnych, zawsze w boju szczęśliwych.

przebywanie pod mostem, sądziły go sądem polowym, w twierdzy Kijowskiej.

Po tak krwawem żniwie Polacy kilka godzin odpoczywali na polach Salichy. Około godziny drugiej popołudniu pociągnięto dalej, w kierunku południowo-zachodnim, zbliżając się do kordonu, z poza którego wciąż spodziewano się Wysockiego oddziałów. Tym razem wieści nadbiegłe z Galicyi twierdziły, iż wejście posiłków galicyjskich już lada chwila nastąpi. Wieści znowu nie miały się sprawdzić, niemniej wszakże Różycki podążył w kierunku domniemanego punktu wejścia rzeczonych oddziałów. Dalszy przeto pochód zależnym był najzupełniej od potrzeby zbliżenia się do kordonu i od tych niebezpieczeństw, które wciąż groziły. Wkrótce po opuszczeniu pól krwawych Salichy, nieprzyjacielskie siły ściągać się tam zaczęły; okolica zalaną została wojskami najezdniczemi różnej broni. W ciągu dwóch dni, które nastąpiły po zwycięztwie pod Salichą, marsz oddziału skierowano ku granicy galicyjskiej. Pochód trwał bez przerwy; nawet dzień zwycięztwa nie stał się dniem wypoczynku. Popołudnie 26 maja i całą noc następną dążono bez wytchnienia; zaledwie nazajutrz (27 maja), o wczesnym poranku, na wysokości Bazalii, odpocząć mogli na chwilę ludzie, wytchnąć znużone konie. Trwało to wszakże bardzo krótko; dano sygnały dalszego śpiesznego marszu. Nie zaślepiało generała powodzenie, tak jak niepowodzenia nie prowadziły go do zniechęcenia. Po rozbiciu wroga również on czujny, ostrożny, pracowicie rzecz swą prowadzący, jak czynił uprzednio. Nad-

ciągały w ciągu marszu wiadomości; nie o Wysockim wszakże, ale o nieprzyjacielu, który grupował się w większe massy i przerwane osaczenie powstańców wznowić pragnął.

Ze wszystkiemi powstańczemi partyami w południowych województwach już wówczas nieprzyjaciel był skończył: wszystkie, po dłuższem lub krótszem trzymaniu się, rozbite, rozproszone, zniknęły; jazda wołyńska generała Różyckiego jedyną była partyą powstańczą tamtych okolic, ktora i rozbiciu nie uległa i zdołała pochlubić się zwycięztwem. Dążono przeto w obozie nieprzyjacielskim z coraz większą zaciętością do pokonania i rozproszenia tych jedynych, niezwyciężonych. Generał, domyślając się zamiarów wroga, taką łamaną linią szedł ku granicy, iż nie zdołano w szeregach przeciwnika z łatwością oryentować się co do jego rzeczywistych zamiarów; widziano go lub słyszano o nim, że jest w Święccu, że około Białozórki, Szybenny, że 28 maja obozuje wreszcie tuż koło Palczyniec. Rzeczywiście generał obozował pod Palczyńcami, zkąd posunął się tegoż 28 maja, około godziny 6 wieczorem, za kordon austryacki. Siły generała, w chwili ostatecznego zbliżenia się do granicy austryackiej, znacznie były uszczuplone. Wśród taborów miał on jeńców rossyjskich; jednego „dońca“ pod Łaszkami ujętego i 13 wziętych do niewoli w bitwie pod Salichą. Ośmiu, czy też siedmiu, uwzględniając ich prośby, uwolniono; reszta przeszła z powstańcami kordon galicyjski i, podczas rozwiązania oddziału, dziękowała generałowi za wygodne utrzymanie i ludzkie obchodzenie się

z nimi. Przekraczając ze swą jazdą kordon w Szczęsnówce, wysłał wódz do władz organizacyi narod. w Galicyi, uwiadamiając o swem przejściu kordonu i żądając przewodnika; pragnął bowiem przejść jedynie przez terrytoryum austryackie, które w owem miejscu tworzy węgieł, i udać się znowu na Wołyń. Zwrotu nawet tego rodzaju dokonano, przechodząc w Zbarazkiem około wsi Toków, pod Koszlaki, mając zapewne zamiar powtórnego ukazania się na Wołyniu, w okolicy Wyszgródka. Przewodnik, dany przez organizacyę galicyjską, żyd, wprowadzał na terrytoryum rossyjskie właśnie w tym punkcie, gdzie rossyjskie wojska były zgrupowane, co omal nie pociągnęło za sobą katastrofy. Czujność wodza ocaliła od niebezpieczeństw, a otrzymane wówczas wiadomości, że niepodobna rachować na natychmiastowe wejście na Wołyń oddziałów Wysockiego, skłoniły Różyckiego do tymczasowego rozwiązania swego pułku jazdy wołyńskiej.

Losy późniejsze ówczesnej walki sprawiły, że już się nigdy owe szyki, wyróżniające się karnością i odwagą, zebrać nie miały. Dzieje jedynego podczas Styczniowego powstania oddziału, który chlubnie walczył, odznaczał się karnością, zwyciężał, lecz nie był pokonany, zostały zamknięte.

Rozeszli się bojownicy, by się już nigdy nie zejść.

Kilka następnych miesięcy przepędził generał Różycki w Galicyi. Upłynęły mu one nie bezczynnie; lecz smutne, bardzo smutne wrażenia przesunęły się podczas owych miesięcy przed jego okiem.

Wnet po przybyciu do Galicyi, przekonał się on, że powolność działań organizacyi galicyjskiej nie postawiła oddziałów mających wkroczyć z Wysockim na Wołyń na stopie gotowości bojowej; potrzeba było narazie wyrzec się myśli walki na Zabużu. Rozkwaterowane we wschodniej Galicyi, na wołyńskiem pograniczu, szwadrony jazdy wołyńskiej chwili stosownej do wystąpienia zbrojnego czekały. Po pięciu zaledwie tygodniach od dnia przejścia granicy przez gen. Różyckiego miał miejsce wymarsz oddziałów gen. Wysockiego na Wołyń: wyprawa ta jednodniowa skończyła się okropnym pogromem pod Radziwiłłowem. Gen. Wysocki zeszedł wkrótce zupełnie z widowni wypadków: władze austryackie ujęły go. Rząd Narodowy powierzył wówczas zwycięzcy z pod Salichy naczelne dowództwo wszystkich sił zbrojnych na Rusi, które bądź tam nanowo organizowały się, bądź już były zorganizowane, lub, wreszcie, sztyftując się za kordonem, na Zabuże miały wystąpić. Nominacya wodza Rusi tem większej nabierała doniosłości, iż jej atrybucye były bardzo obszerne, gdyż generał stawał się zależnym jedynie od wydziału wojny Rządu Narodowego, a swej prowincyonalnej władzy — Wydziałowi Rusi — nie miał składać żadnych raportów, lecz jedynie uwiadamiać ją o sprawozdaniach złożonych wydziałowi wojny, aby ogólnie była świadomą biegu wypadków.

Tak rzeczy stały ku końcowi lipca i w sierpnia pierwszej połowie 1863 r. Generał Różycki, „Wódz naczelny sił zbrojnych na Rusi“, przystąpił z właściwą sobie energią do postawienia na stopie

zupełnej gotowości bojowej oddziałów zamierzonej nowej wyprawy do południowych województw. Dzielnie go w tem wspierał, rzec można całą duszą przedsięwzięcia i zarazem główną dłonią był, b. pułkownik generalnego sztabu rossyjskiego i b. szef sztabu dywizyi, Jan Stella-Sawicki, znany pod nazwą pułkownika Strusia, którego zdolności w tym kierunku i bezbrzeżne oddanie się sprawie narodowej oceniając, Różycki swym szefem sztabu na nowem stanowisku mianował.

Ramy niniejszego szkicu biograficznego nie pozwalają, abyśmy szczegółowo ten półroczny okres życia gen. Różyckiego tu rozważali. Nasunęły mu czasy te dużo wrażeń niemiłych, dużo dni ponurych, lecz wśród nich spotykał niekiedy i pogodniejsze chwile, gdy z poza kordonu, z Wołynia i Ukrainy, dobiegały wieści świadczące o trwałości zupełnego oddania się owych ziem zwycięzcy z pod Salichy, o tej ufności i czci, jaką go tam otaczano.

Żółwim krokiem szły przygotowania nowych wypraw, bezwzględu na zapobiegliwą działalność gen. Różyckiego i pułkownika Strusia; administracya cywilna niezawsze skwapliwie wspierała usiłowania władz wojskowych, niezawsze dotrzymywała im kroku, chociaż czyniła wiele, bardzo wiele; lecz okoliczności często, mówiąc ściślej, prawie zawsze nieprzyjazne, niweczyły usiłowania, zarówno wojskowych, jak i cywilnych władz powstańczych, rozbijały jednem cięciem pracowicie snutą nić ich zabiegów. Ku końcowi lata, 1863 roku, powstanie w Kongresówce posiadało jeszcze chwile pogody: w owej epoce jeszcze marzenia i zabiegi wyprawy

nowej na Zabużu zdawały się blizkiemi urzeczywistnienia; w owej też epoce przybył z Francyi do Galicyi sędziwy ojciec Edm. Różyckiego, weteran bojów dawnych o niepodległość, pułkownik Karol Różycki, który, z zapałem w kraju witany, pragnął prowadzić w ogień synów i wnuków, jak niegdyś ojców i dziadów prowadził. Gdy jednak różne przyczyny, których roztrząsanie staje poza zakresem niniejszego szkicu biograficznego, nie pozwoliły zacnemu patryarsze emigracyi zamiarów swych urzeczywistnić, z głębokim smutkiem w duszy powrócił on na tułactwo; wreszcie, coraz smutniej było na polach walk powstańczych... Zima, dzieląca rok 1863 od 1864, rozpoczynała ostatni akt wielkiej tragedyi dziejowej, której polem była Polska ówczesna...

Gen. Edm. Różycki, powołany z powodu spraw powstania na Wschód, zdaje komendę nad pułkiem jazdy wołyńskiej gen. Chaleckiemu, inne swe prace powierza swemu szefowi sztabu, pułkownikowi Strusiowi, a sam w grudniu, owego krwawego roku, opuszcza Galicyę, udaje się do Konstantynopola; później ze Wschodu dąży na Zachód, lecz już do żadnej z dzielnic Polski nie wraca, wrócić nie może... powstanie dogasa... repressya zamyka mu drogę powrotu do każdej z dzielnic.

Od wiosny 1864 r. rozpoczyna się dla niego nowa doba w życiu, doba tułacza. Widzimy go odtąd w Paryżu, gdzie był osłodą sędziwych lat ojca swego, gdzie bolał nad klęskami, które wciąż na nasz naród spadały. Nie mogąc w ówczesnych okolicznościach inaczej służyć krajowi, starał się nieść pomoc współtułaczom na ziemi francuskiej.

Ułatwiało mu to zadanie zaufanie posiadane u władz francuskich, które go ceniły jako człowieka nieposzlakowanego charakteru i jednego z wybitniejszych wodzów powstania. Ilekroć władze te potrzebowały wiarogodnych informacyj o sprawach emigrantów, jak n. p. o żołdzie, o udziale w powstaniu, o otrzymanych w niem stopniach, wojskowych lub cywilnych, odwoływano się do niego z zupełnem zaufaniem i głębokiem przeświadczeniem, że jego świadectwo jest najpoważniejszem.

Zapatrywania się Edm. Różyckiego w owej epoce na sprawę polską i sposób jej stawienia wobec narodu francuskiego wybornie odtwarza jego list, pisany do p. Arago, adwokata w Paryżu, który miał bronić Berezowskiego, w sprawie zamachu na życie cesarza rossyjskiego, Aleksandra II.

Berezowski, który, jak powszechnie wiadomo, podczas Wystawy w Paryżu, w r. 1867, targnął się na życie bawiącego tam chwilowo Aleksandra II, był rodem z Wołynia, z okolic Lubaru i jednym z żołnierzy oddziałów powstańczych Edm. Różyckiego.

W owej to chwili wystosował dawny wódz do p. Arago, obrońcy obwinionego Berezowskiego, list następującej treści, który tu w całości, w jego własnym przekładzie, podajemy, jako malujący myśli i uczucia tej duszy wzniosłej, zawsze wiernej zasadom nauki Chrystusa. Brzmiała owa odezwa w ten sposób:

„Szanowny Panie! — Masz pan podnieść przed sądem głos w obronie nieszczęśliwego rodaka mojego.

Straszny los jego jako człowieka, współziomka, i niegdyś podwładnego mojego, przenika mnie największym bolem i niepokojem, ale z uczuciem tem, które dzieli każde serce polskie, łączy się daleko rozleglejszej miary troska, bo sprawa Berezowskiego będzie niechybnie stawioną w związku ze sprawą samejże Polski. Obowiązek obrońcy i, jak ufam, żywa sympatya francuskiego serca Twojego wymagać będą od Ciebie, Panie, abyś rozwinął obraz cierpień ojczyzny mojej, przedstawił uczucia jej synów i dotknął głównego jej zadania. Z tego powodu uważam za powinność sumienia złożyć Tobie, Panie, acz najogólniejsze przedstawienie uczuć i przekonań moich w tej rzeczy.

„Bóg sam tylko, w najwyższej mądrości i miłosierdziu swojem, rozrządza losami narodów, i wedle chorób wewnętrznych, któremi są dotknięte, naznacza stosowne lekarstwo mogące przywrócić im zdrowie i uzdolnić je do spełnienia przeznaczeń zakreślonych w niedostępnych dla rozumu ludzkiego sądach Bożych... Skoro Ten najwyższy Rządca wszechrzeczy dopuści narodowi wpaść z wolności w niewolę, z niepodległego bytu w jarzmo obce, żadne naówczas siły i sposoby ludzkie nie są zdolne wyrwać go z tej pokuty, dopóki nie spełni, czego Bóg wymaga po nim.

„Wielkie jest powołanie Polski — wielka też jej wina, że nie odpowiada powołaniu swemu — ztąd wypływa ciężka jej pokuta i wielkie cierpienia... W duchu swoim wierna Chrystusowi, a w czynach przeciwna, spadła Polska z najwyższego szczebla wolności, który zajmowała niegdyś wśród

narodów współczesnych, na samo dno niedoli i niewoli, i niema dla niej innej drogi zbawienia, innego sposobu podniesienia się z upadku, odzyskania tego co utraciła, i osiągnięcia, co jej naznaczono w miłosierdziu Bożem — jak tylko powrócić pod prawo Chrystusa, przyjąć Krzyż Jego, z tem poddaniem się woli Ojca Przedwiecznego, którego to poddania się wzór najwyższy On sam na sobie okazał, i wskutek tego nosić w duszy i objawiać w czynie tę miłość i tę ofiarę dla bliźniego, którą On obejmował wszystkich, nawet i prześladowców swoich.

„Rozwinięcie tego uczucia i przekonania mego, a zarazem wskazanie źródła, zkąd je czerpię, znajdziesz, Szanowny Panie, w dołączonej tej książeczce, w której wyjaśnione jest obecne położenie ojczyzny mojej i wskazana jedyna droga ratunku, życia jej i zbawienia.

„Na nieszczęście droga ta nie jest dotąd przyjętą przez wielu rodaków moich: uczucia nienawiści i zemsty dla narzędzi pokuty naszej, noszone w duszy wielu, owładnęły też i młodem sercem Berezowskiego i wyparły z niego czyn, za który dzisiaj odpowiadać musi.

„Oceniam wysoki talent Twój, Szanowny Panie, pokładam całą ufność w szlachetności uczuć Twoich, ale nie mogę zataić przed sobą trudnego położenia, w jakiem się Pan znajdziesz, powołując Polskę przed Trybunał w obronie człowieka, który dla tego tylko popełnił zbrodnię, że jest synem nieszczęśliwej ojczyzny i że, idąc jedynie za głosem boleści nad jej niedolą, poświęcił się dla niej na drodze najprzeciwniejszej jej ratunkowi... W ja-

kim więc charakterze stanie Polska przed Trybunałem i przemówi przez usta Twoje; czy jako wspólniczka oskarżonego, czy jako Matka?... Oto jest przedmiot frasunku mojego...

„Jeśliby stanęła z podniesionem czołem, z goryczą w sercu i z wyrzutami na ustach, jako niewinna ofiara przemocy i gwałtu, jeśliby usiłowała uprawnić popełnione przestępstwo pogwałceniem praw jej odwiecznych, stuletnim szeregiem krzywd jej wyrządzonych, niezliczonemi niesprawiedliwościami i niewysłowionemi językiem ludzkim okrucieństwy, domierzonemi na niej, jeśliby nakoniec, uznając ten czyn za swój własny, chciała listkiem męczeńskiego wieńca swojego ozdobić skronie mściciela, wątpię, żeby zdołała go zasłonić, chociażby tylko przed sądem opinii publicznej.

„Jeśli zaś stanie w obliczu ludzi taką, jaką być powinna w obliczu Boga, korną na drodze poprawy pokutnicą, składającą u stóp Zbawiciela boleści i krzywdy swoje, a dla bliźnich pełną miłości i gotową do ofiary, i w tem uczuciu chrześciańskiem zdolną do spełnienia wysokiego powołania swojego w wielkiej sprawie Chrześciaństwa — wtedy ze łzami rozbolałej Matki będzie mogła mu powiedzieć: „Synu nieszczęsny! owładnęło tobą złe, które jest największym wrogiem moim, i w serce twoje, szczerze przywiązane do mnie, wlało uczucie wręcz przeciwne drodze ratunku mojego. Niech tobie Bóg przebaczy i niech ludzka litość będzie nad tobą, boś nie wiedział co czynił!...

„Mam to przekonanie, że tylko ten ostatni głos jest głosem ojczyzny mojej, i że w taki tylko sposób

sprawa Polski może mieć związek ze sprawą Berezowskiego, i przynieść mu pomoc w pozyskaniu litości ludzkiej, a przedewszystkiem Miłosierdzia Bożego; bez czego litość ludzka, sympatya, najgorętsze nawet współczucie, niewięcej pomogłyby Berezowskiemu, jak pomagają obecnie Polsce samej... W każdym razie, chwila sądu jest dla niego chwilą kierunkową; a tylko on sam, własnem poruszeniem się wewnętrznem, może sobie zasłużyć na to czego mu głównie potrzeba na jego doczesną i wieczną przyszłość... Jeśliby, na nieszczęście, nic go dotąd nie skruszyło i nie dało poczuć prawdy, jeśliby wszedł on do izby sądowej zaślepiony i zatwardziały, oby wyszedł z niej inny; oby wymowny i przyjacielski głos obrońcy dał mu ujrzeć w prawdziwem świetle doniosłość jego występku i dopomógł uczuć jak dalece obraził on Boga i ojczyznę! Wtedy to, jakikolwiek będzie wyrok sprawiedliwości ludzkiej, wolno nam będzie ufać, że dostąpi on miłosierdzia u Boga!...

„Chciej, Szanowny Panie, przyjąć wyraz głębokiego szacunku mojego“... *Edmund Różycki.*

Paryż, 5 lipca 1867 r.

(W dalszych latach tułactwa widzimy Edm. Różyckiego wciąż pracującym nad własnem duchowem udoskonaleniem się. Myśl jego w tym kierunku nieustannie działa.) Przebija się to w licznych jego listach do przyjaciół, uwydatnia się w poufnych zwierzeniach, przy różnych okolicznościach... „Im dłużej rozmyślam — powiada w jednem z tych

zwierzeń poufnych — tem głębiej czuję całą wagę pokuty, t. j. ciągłej, nieustannej pracy nad sobą, ciągłego, nieustannego czuwania... tak jak galernik pokutujący za zbrodnie musi nieustannie pracować... tak i ja powinienem z miłości, z dobrej woli uprawiać niwę mej duszy"... „Tak — dodaje wreszcie w owych poufnych zwierzeniach — ciągłe rzeźbienie Krzyża Chrystusowego na twardej opoce naszej duszy powinno być główną pracą i główną pociechą naszą [1])"...

Powyższe wyrazy kreślił on w Paryżu, w pamiętnym roku 1870, na dwa tygodnie przed wypowiedzeniem przez rząd francuski wojny pruskiej. Wówczas to właśnie Matejkę, obecnego w Paryżu, podejmowały ucztą koła naszej emigracyi. Generał, który od dłuższego czasu nie udzielał się liczniejszym zebraniom, czuwając nad gasnącym ojcem, tymrazem uczestniczył w uczcie danej dla Matejki, i, mówiąc o niej w liście do przyjaciela, nie zaniedbał zaznaczyć swój zwrot myśli ówczesny ku udoskonaleniu się duchowemu, ku pracy nad sobą... „Obiad, który emigracya dawała Matejce — czytamy w rzeczonym liście, z d. 1 lipca 1870 r. — odbył się w przeszłą sobotę. Było na nim 130 osób. Podczas jednego z toastów miałem sposobność zbliżyć się do znakomitego malarza i wyraziłem mu wdzięczność naszą za to, że uwydatnił ideał, który dusza polska przed wiekami nosiła, i że uwydatnił go właśnie w tej chwili, w której Bóg nas woła do podniesienia ideału tego, do rozszerzenia go, do

[1]) Z listu do p. Karola Baykowskiego.

wprowadzenia w życie, w czyn... Odpowiedzi nie otrzymałem: Matejko albowiem jest człowiekiem żyjącym w świecie abstrakcyi“... Przemówienia na owej uczcie wygłoszone, acz pięknemi były, i szczególnie mowa Kaplińskiego wyróżniała się „ogniem“, z jakim ją wypowiedział toastujący, nie wywarły dodatniego wrażenia na generale; owszem, wrażenie było „przykre“, i wówczas to, pod wpływem przykrego wrażenia, rzuca w poufnem zwierzeniu takie myśli:... „w mowach dużo idei i światła... ale obowiązków nie wyciąga się żadnych z tego światła, ztąd lubowanie się wielkością idei polskiej, pycha i wstręt do przyjęcia tonu pokuty, który jedynie nam przystoi, za tyle zmarnowanych Bożych skarbów, za tyle zmarnowanych pomocy niebieskich... Boże, zlituj się nad nieszczęśliwą ojczyzną naszą! obudź ją z letargu, w jakim, pomimo tak srogich napomnień Twoich, głęboko ona spoczywa [1])“...

Myśl o „pokucie“, o pracy nad sobą, nad własnem, ciągłem udoskonalaniem się zajmuje go odtąd nieustannie, jej poświęca niemało czasu, w niej znajduje pokrzepienie, osłodę, wobec klęsk ojczyzny, których echo brzmi na Zachodzie coraz słabiej, ale odbija się z mocą niezwykłą w duszy tego prawdziwie chrześciańskiego rycerza...

Bolejąc nad niedolą własnej ziemi, generał nie był też obojętnym i na cierpienia narodu fran-

---

[1]) l. c.

cuskiego, dla którego sympatye były w nim zawsze tak głębokie i trwałe, że i wtenczas nawet, gdy Francuzi, w kilka lat po utworzeniu się trzeciej Rzeczypospolitej, coraz bardziej ku Rossyi ciążyć zaczęli, on pomimo to nie zraża się, nie zmienia swych uczuć dla narodu francuskiego i tak się o nim wyraża: „Jest to naród, z którym oddawna jesteśmy związani węzłami braterstwa i przyjaźni; oba nasze narody przeznaczone są do przyjęcia, obrony i rozszerzania wolności i prawdy na świecie, a więc powinniśmy się znać i iść ręka w rękę“...

Na tle tych wielkich sympatyi dla Francyi rozwijało się jego współczucie dla Francuzów, upadających pod brzemieniem najazdu Prusaków. Nader ciężkim dla niego był cały okres tej walki z Prusakami. W klęskach Francyi widział on karę niebios, przestrogę wiodącą do opamiętania, i z boleścią spostrzegał, iż do opamiętania nie spieszono, iż wrodzona lekkomyślność narodu francuskiego zagłuszała uczucie smutku. Po oblężeniu, po bezbrzeżnych stratach i upokorzeniach, zwracano się szybko do życia materyalnych zabiegów, nie zdając sobie sprawy z moralnej doniosłości prób, przez które naród francuski przechodził. Czasy owej wojny tem dotkliwsze dla niego były, że w kilka dni po Sedanie, kiedy padło przerażenie na całą Francyą i Paryż zapełniał się mieszkańcami wiosek przyległych i dalszych okolic, szukającymi schronienia pod osłoną fortów stolicy, gasło życie jego sędziwego ojca, Karola Różyckiego.

Wzruszające są listy generała, opowiadające o ostatnich chwilach umierającego ojca... Bohater listopadowego powstania umierał z całym spokojem i wiarą głęboką, prosząc miłosierdzia dla bliższych i dalszych, dla ludzi, narodów... „Życzę miłosierdzia Bożego wszystkim — mówił gasnący starzec — życzę, aby na nie zasłużyli, jak ludzie tak i narody... i Prusakom życzę również“...

12 września 1870 roku usnął snem wiecznym Karol Różycki, a we dwa dni później syn go grzebał z garstką ziomków, na cmentarzu Montmartre. Pogrzeb odbył się skromnie, jak tego pragnął sędziwy patryarcha dawnej emigracyi i tych bojowników, co latami swych walk i poświęceń sięgali prawie epoki upadku...

Jeżeli okres wojny pruskiej i oblężenia Paryża były dniami boleści i prywacyi dla generała, to wybuch wojny domowej — tak zw. „komuny“ — napełnił go grozą trudną do wypowiedzenia i pobudził do czynu jedynego może w swoim rodzaju. W owych chwilach wielkiego dziejowego przełomu, jeden z najcnotliwszych synów Polski, Edmund Różycki, postanawia głos zabrać, aby powołać Francuzów do zgody, braterskiej miłości i pokoju: pragnie on ich zwrócić do źródeł, zkąd przed wiekami ich ojcowie czerpali moc i wielkość dla swej ojczyzny, pragnie uczucie religijne rozniecić w łonie narodu francuskiego. Pisze przeto odezwę wzywającą Francyą do pokuty, do schylenia czoła przed majestatem Boga, który jeden tylko może ją zbawić. Potrzeba było mieć dużo cywilnej odwagi, aby ten pomysł urzeczywistnić, napisać rzeczoną odezwę

i porozlepiać ją na murach rozszalałego Paryża. Ale generał polski nietylko posiadał odwagę bojową; on, wielki miłośnik i rycerz prawdy, nie mniejszą posiadał odwagę obywatelską. Oto jest w przekładzie owa odezwa do Francuzów, którą tu, jako jeden z rysów uzupełniających duchowy wizerunek tej niepospolitej postaci, w całości przytaczamy.

„Francuzi!

„Straciliśmy tysiące ludzi, straciliśmy sławę, mienie, część Francyi, a niezadługo możemy ją stracić w zupełności.

„Straciliśmy jeszcze coś więcej, bo gdy los ojczyzny naszej, gdy niesłychane nieszczęścia jej nie rozdzierają serc naszych, nie wyciskają nam łez boleści, to pokazuje się, żeśmy stracili wszelkie uczucie człowiecze.

„Tak, straciliśmy to uczucie, bośmy się odwrócili od źródła, z którego płynie wszelkie uczucie wzniosłe i szlachetne: zaparliśmy się Boga, staliśmy się bezbożnymi!... bezbożnymi w kościele, w życiu publicznem i w życiu prywatnem; bezbożnymi jako kapłani i fałszywi dewoci, jako dostojnicy i obywatele, jako rządzący i rządzeni. Stworzyliśmy sobie boga swojego: a nim jest złoto i rozkosz.

„Samolubstwo i materyalizm, ta okropna gangrena, pożerała dusze nasze, i gdyby podobna nam było żyć tak i nadal, tobyśmy się stoczyli do niższego od bydląt poziomu.

„Ale Bóg nas powstrzymał, spuścił na nas straszliwą klęskę, by nas wyleczyć z choroby; karze nas za grzechy i wzywa do odrodzenia się.

„Narodzie francuski! Narodzie niegdyś arcychrześciański, czyż się twa dusza nie wzdrygnie na stan w jakim zostajesz?... Rozniećże w sobie tę iskrę; padnij na kolana przed Panem nad pany; z głębi duszy zawołaj do Niego głosem rozpaczy i żalu. On jeden mocen cię zbawić, a miłosierdzie Jego jest bez granic.

„Polak, syn narodu pokutniczego, przynoszę Francyi, drugiej ojczyźnie mojej, jako dług wdzięczności, tych słów kilka pochodzących z głębokiej miłości mej dla niej".

24 marca 1871 r.

Edmund Różycki [1]).
Avenue St Mandé, 70.

Wyrazy człowieka głębokiej wiary, patrzącego poważniej na świat i jego stosunki, niż całe pokolenia ówczesne, przebrzmiały ponad Francyą, jak dzwon wzywający głuchych do pokuty... Późniejsze ćwierćwiekowe dzieje Francyi wskazują, że żaden głos, zwracający do źródeł zkąd wszelka moc i pociecha płyną, nie stał się ziarnem, z któregoby urósł krzew pomyślności. Wszystkie te głosy, ode-

[1]) Odezwa ta spotyka się w dwóch wydawnictwach francuzkich z epoki wojny prusko-francuskiej (1870—1871): „Les murailles politiques françaises depuis le 4 Septembre 1870;" i „Quelques cris d'amour et de douleur sur l'état actuel de la France, recueillis par Edmond Rozycki". Paris 1871. (Typogr. Morris père et fils).

zwy, pełne uczucia smutku, rozpaczy, miłości Francyi nie wstrzymały francuskiego społeczeństwa na pochyłości moralnego upadku, po której wciąż się stacza w otchłań zguby...

Różycki pisał swą odezwę w chwili rozpoczynającej się bratobójczej walki na bruku paryskim. „Musiałem przerwać mój list przedwczoraj — pisze do przyjaciela [1]), d. 26 marca 1871 — i posłać go tobie niedokończonym, zaczęto bowiem strzelać na placu Vendôme i musieliśmy wyjść z biura [2])“... Był to właśnie dzień napisania wyżej przytoczonej odezwy; Francuzi strzelali do pokojowej manifestacyi kupców i zamożniejszych mieszczan, mianujących się „ligą porządku:“ kule przelatywały przez dach gmachu Crédit Foncier. Z pod gradu kul udał się polski generał do mieszkania swego, napisał odezwę, kazał ją wydrukować i w tysiącu egzemplarzy rozlepić na murach Paryża. Świadomy niebezpieczeństw, na jakie narażało go takie wystąpienie, pousuwał z domu pamiątki, by nie uległy zatraceniu i z rezygnacyą oczekiwał następstw swego kroku... W chwili, gdy rozlepiano odezwę na węgłach ulic stolicy, pisał on tak do przyjaciela: ...„Bardzo mi ciężko, że nie mogłem już zasięgnąć rady waszej o tym czynie, ale czasu na to nie było, a czułem, że gdybym rzecz tę przepuścił, toby mnie to zagryzło... Patrzałem na intencyą moją, a widząc, że siebie tu nie mam na celu, zdecydowałem się wydać to, co w duszy dla Francyi

---

[1]) Do p. Karola Baykowskiego.

[2]) Gen. Różycki, podczas tułactwa we Francyi, pracował w biurach Crédit Foncier.

nosiłem. Jeżeli to dobrze, to gotów jestem odpowiedzieć chociażby głową moją za prawdę Bożą; jeżeli źle — gotówem odpokutować, jak Bóg naznaczy... W każdym razie, upraszam o modlitwę waszą u Pana nad pany za mną grzesznym... a zresztą spuszczam się na opiekę Bożą i Najświętszej Panny, Królowej naszej [1])“...

Odezwa była napisaną w „Wigilią Zwiastowania N. Maryi Panny“, co nie było rzeczą przypadku. Widzimy stwierdzenie naszego mniemania w owym niedokończonym liście, gdzie nietylko datę położył, ale i wymienił, iż to jest przeddzień święta Bogarodzicy, której cześć zawsze wysoko podnosił... Przywiązywanie znaczenia do pewnych dni, poświęconych pewnym świętym, kilkakrotnie w jego życiu się spotyka.

Odezwa rozrzucona w stolicy sprawiła chwilowe wrażenie, lecz ono wprędce przebrzmiało w tem mieście — olbrzymie. Po dwóch dniach widziano z niej strzępy na murach... Generał nie miał przykrości od Francuzów, zkąd spodziewał się ich najbardziej, lecz ktoś z ziomków, „anonim-Polak“, przysłał mu odpowiedź bezimienną, pełną zniewag. Francuzi, jeżeli okazywali swe usposobienie nieprzyjazne, to je manifestowali, zakreślając niektóre ustępy, a ludzie bez wiary mówili z ironicznym uśmiechem: „*c'est plus que de l'eau bénite*“... Zdarzyło się jednak, iż przyszedł jakiś Francuz, wyrobnik, z podziękowaniem gorącem, ze słowem serdecznego uznania; mówił, iż najwięcej go uderzyła prawda

[1]) l. c.

w odezwie wyrażona, iż naród stworzył sobie bożka: „*l'or et le plaisir*“... bo to samo opowiadała wówczas tłumom jakaś dzieweczka, przepowiadająca przyszłość [1])...

Widząc zarówno w wypadkach wojny i oblężenia Paryża, jak w wybuchu i rozwoju krwawego dramatu komuny, karzącą rękę Boga, generał korzy się przed wyrokami Opatrzności; zdaje mu się, że to co on czuje, odczuwać powinni wszyscy, że ludzkość natychmiast wejść powinna na drogę pokuty i poprawy... Oczekiwania były próżne. W dniu W. Piątku, owej pamiętnej wiosny (7 kwietnia 1871 r.) pisze generał następujące uwagi o bratobójczej walce Francuzów: „Stan rzeczy i duch jaki niemi kieruje, czytamy tam, ciągle się pogarsza; a *gdzie granica*, to Bóg tylko wie. Zajadłość ludności, t. j. tej części, która bierze udział (w „komunie“) codziennie wzrasta. Kobiety, które były bardzo obojętne podczas wojny z Prusakami, okazują przeciwko swoim większą jeszcze zażartość niż mężczyźni“... „Istny dom obłąkanych. Znaczniejsza daleko część ludności nie chce tego wszystkiego, a nie mając żadnej siły, żadnego oparcia, żadnej zasady, musi ulegać opętanym, i nawet brać udział w bratobójczej wojnie. Drży człowiek i duch przed tak strasznemi owocami złego, ściągającemi tak straszną karę Bożą... Jak widzisz, piszę ci w W. Piątek, w dniu męki Pańskiej, a przepędziłem go w uczuciu boleści nad stanem świata, w uczuciu boleści i skruchy nad własnemi grzechami, nad długą obojętnością i długiem ospaniem“...

---

[1]) l. c.

Do tych wszystkich wrażeń przygnębiających przybyła wieść nader smutna o ziomkach, którzy do zamętu komuny dłoń swą przykładają. W przytoczonym tu liście znajdujemy taką o tem wzmiankę generała: ...„Rodacy nasi, na nieszczęście, biorą udział w wypadkach; kilku jest już niewolnikami w Wersalu“...

Utonęła wreszcie „komuna“ w potokach własnej krwi, wylanej mściwą i okrutną, choć bratnią ręką zwycięzkiej armii porządku; utonęły w tej krwi niezliczone tysiące ofiar winnych i niewinnych. Do najniewinniejszych należeli bezsprzecznie dwaj weterani nasi z 1831 roku, serdeczni przyjaciele Edmunda i wierni Francyi przyjaciele: Michał Szwejcar i Adolf Rozwadowski, wywleczeni przez Wersalczyków z mieszkania swego i tuż przy niem na ulicy rozstrzelani... Odtąd sympatye Francyi odwracają się coraz więcej od Polski, a zwracają się ku Rossyi. Dla Polaków pobyt we Francyi staje się coraz uciążliwszym; myśli generała skłaniają się coraz częściej i coraz silniej ku powrotowi do kraju, za którym serce jego ani na chwilę tęsknić nie przestawało.

Podczas gdy generał pędził życie tułacze, krótka wyprawa jego powstańcza, zakończona zwycięztwem pod Salichą, utrwalała się w pamięci tych, co pozostali w Polsce, przybierała postać legendy. Miłość, jaką go otaczano w chwili gdy wzniósł na polach Wołynia sztandar z Orłem Białym, przetrwała dni ogólnego pogromu, przetrwała

lata ucisku. Wódz zwycięzki z pól Salichy żyje dotąd na Wołyniu, żyje w legendzie i pieśni, której jedną zwrotkę na pierwszych kartach niniejszego szkicu przytoczyłem, żyje w pamięci pokoleń, co urosły na mogiłach pobojowisk Miropola, Minkowiec, Salichy...

Pamięć o Edmundzie Różyckim, pełna wdzięcznej miłości, zaniesiona została przez jeńców z pod Minkowiec aż do ziem wygnania, na Syberyę...

Powstańcy z Wołynia, pędzeni na Syberyę, spotkali na gościńcach wygnania całe gromady jeńców z licznych ziem dawnej Polski i w opowiadaniach swych sławili pamięć wodza z pól Wołynia. Jeden ze słuchaczy tych opowiadań, współwięzień, pędzony z Witebskiego, Artemyusz Weryha, wierszopis polski i białoruski, ujął w rym wspomnienia o boju pod Salichą. Rzecz nigdzie dotąd niedrukowaną dajemy tu; odblaskiem ona tej czci i miłości, którą otaczano Edmunda Różyckiego na całej przestrzeni ziem Wołynia, Ukrainy i Podola.

Rapsod ten rycerski brzmi tak:

Het, tam, po szlaku, gdzieś w Ukrainie,
Posępny zastęp rycerza,
Co mniej niż tysiąc liczy w drużynie,
Na Ruś Czerwoną już zmierza.
Wróg, ufny w siłę — tłumne zastępy
Kazał wokoło tak sprawić,
By przez parowy, lasy i kępy
Wpaść nań, i żywcem dostawić.
Rycerz wie myśli wroga zażarte,
Umie przed wilkiem ślad zatrzeć
I tylko tam je rzuca niestarte
Skąd lepiej wroga dopatrzeć...

Znużeni marszem zwinęli szyki,
Obóz dokoła ścisnęli,
Trzymając w ręku strzelby i piki,
Snem twardym bracia zasnęli.
A powiek wodza sen nie zamyka,
Bo jego dusza wojacza,
Bo jego serce nawskroś przenika
Powinność wodza-tułacza.
Nieraz objeżdża warty i słucha,
Czy chrzęst i tentent ze szlaka
Nie dójdzie jego ostrego ucha,
Co słyszy nawet lot ptaka...
Zaczęło świtać, z drogi od lasu,
Coś się tam widzi wodzowi.
„Wiaro! do szyku!“ — krzyknął — „dość wczasu!“
I wszyscy stoją gotowi.
Bliżej i bliżej, ścieżką, to smugą,
Jak bryła jaka żyjąca,
Suną się ludzie; wódz patrzał długo,
Oko ogniste, dłoń drżąca.
A ten blask oczu, to ręki drżenie
Dla piersi z których krew ciekła —
Wolą niezłomną: — na ich skinienie
Pójdą do nieba i piekła.
I jeszcze bliżej, już pod ostrogą
Czuła rumaka drży skóra,
Dobyty pałasz, i już, już nogą,
Wódz ściśnie konia, i — hura!
Wtem na twarz jego, piękną zapałem
Jakiś chłód wionął od miedzy:
„To jacyś nasi“, rzekł, o poznałem,
„Więc do spoczynku koledzy“.
I znowu z placu szyki wróciły
Na miejsce swego wytchnienia,
A oczy wodza łzą się zrosiły
Na widok ofiar, cierpienia.
To garstka naszych znużona drogą,
W lichej odzieży i zbroi,

I znać, że głodem zmęczona srogo,
Cześć mu oddała — i stoi.
Wyszedł naczelny i rzekł do wodza:
„My z Ciechońskiego szeregów,
„Dawno szukamy ciebie po drodze,
„Zalicz nas do swych kolegów“...
Wódz ciężko westchnął, bo znać z oblicza
Kto doznał losu oporu;
I rzekł: „Bóg często siły użycza
„I tym, co słabi z pozoru“...
Łzy mu nabiegły — wtem wystrzał warty
Zbudził ostrożność i trwogę;
Spojrzał i widzi, że wróg zażarty
Obóz wysuwa na drogę.
Widać mu pilno, gdy swą piechotę
Tłumnie na wozy rozsadził,
Lecz pewno zmylon, kiedy hołotę
Nie na bój prosto prowadził.
„Ot, chwała Bogu, jest i robota!“
Wódz rozweselon zawoła:
„Jeśli w was tedy szczera ochota
„Za kraj z moimi nieść czoła,
„Śpieszcie i znieście: tylko dam radę,
„Tak nagle trzeba nacierać,
„Żeby wróg tłumy nie zlał w gromadę,
„Bo wówczas trzeba umierać“...
„Że się wam uda, tak sobie tuszę,
„A więc, nie tracąc nic czasu,
„Choć głodni ciałem, wzmocnijcie duszę...
„Z Bogiem! i tnijcie od lasu!
„Dowiedźcie, żeście dzielni i śmiali,
„Że wódz wam słaby przewodził,
„Że łatwo wszędzie gromić Moskali,
„Gdzie nikt ze swoich nie szkodził“...
„Jezus, Marya!“ — i znikła wiara;
W obozie wrogów zgiełk, wrzawa,
Jakby się krzątą w nim Polska stara,
Jakby pod Wiedniem to sprawa.

Obóz, co liczył tysiąc bez mała,
Wiara półsetką rozprasza;
Część w pień wycina, i sama cała
Wraca i tryumf ogłasza.
Wódz ją ze swymi w szyku sprawionym
Spotyka, wita, hołd daje:
„O cześć! zawoła, wam niezwalczonym,
„Niech każdy z nami w rząd staje!“...
I poszli razem... Niech kiedyś sława
Nagrodzi tryumf dziś cichy!
Wódz — to Różycki, a świetna sprawa
Zaszła u wioski Salichy [1]).

(Po przebyciu w Paryżu oblężenia i dziwnie ciężkich dni komuny, generał zapragnął coprędzej wrócić do Polski. Już go nic nie zatrzymywało we Francyi.) Ojciec, nad którym on czuwał w ostatnich kilku latach jego życia, jak to już wyżej nadmieniliśmy, legł na mogilniku Montmartre, gdzie tyle wielkich duchów Polski złożyło swe kości...

(Inne dzielnice ojczyzny zamkniętemi dla niego były, ale podkarpacka stanęła otworem. Tam się więc udał, lubo prądy miejscowe ówczesne nie wró-

---

[1]) Artemyusz Weryha, autor tu przytoczonego rapsodu, opiewającego jedną z chwil wyprawy Edmunda Różyckiego, zostawił kilka wierszowanych ustępów z powstania 1863 roku, w swych „Pamiętnikach“, dotąd niewydanych. Spisywał on je przeważnie w roku 1865—1866, podczas etapowej podróży na Syberyę. Art. Weryha, znany z brania udziału w ruchu umysłowym prowincyj nad Dźwiną, w połowie bież. wieku, i wcześniej, tłumacz „Pana Tadeusza“ na język białoruski, autor wielu pieśni białoruskich, zmarł na Syberyi przed dziesięciu laty.

Przyp. Aut.

żyły ani dobrego przyjęcia wśród swoich, ani rokowały dni moralnego spokoju.)

Stosunki krajowe około roku 1871 taki obrót brały w Galicyi, iż pobyt dla emigrantów stał się tam możliwym. Generała Edm. Różyckiego widzimy więc w Krakowie w r. 1872. Obrał on Kraków na miejsce pobytu stałego i szukał pracy, któraby mu dała niezależne istnienie. Sprawa ta szła wszakże nader opornie, bo oprócz przeszkód, będących do przewidzenia, jak n. p. brak stosownych stanowisk, spotkał takie, które wcale nie były do przewidzenia, zwłaszcza iż chodziło o pracę w instytucyach prywatnych, wzniesionych z inicyatywy i pracą ziemian galicyjskich; robiono mu wszakże trudności — walczył bowiem za ojczyznę. Był to cios niespodziany, tem boleśniejszy, iż z dłoni ziomków pochodził.)

Dajemy tu głos jego własnym wynurzeniom, tyczącym się rzeczonej sprawy a zawartym w liście do jednego z przyjaciół. ...„Dotychczas jestem w Krakowie — powiada w tym liście — miejsca jeszcze nie mam. Pomimo wszelkich starań i obietnic, nie chcą mi tu nic dać z powodu nazwiska mego i udziału w powstaniu... Dużo robiłem wizyt, starając się o miejsce, czasem niekoniecznie grzecznie byłem przyjęty, ale starałem się robić to w pokorze i poddaniu się pozycyi, w której mnie Bóg postawił“... „Jest w tem niezawodnie i moja wina — pisze on w dalszym ciągu — a czując niedołęztwo i biedy me wewnętrzne, korzę się przed sprawiedliwością Bożą i staram się usunąć me ułomności, ale zawsze to rzecz smutna, że w Polskim kraju znajduję

przeciwności właśnie dla tego, iż Ojczyźnie kiedyś służyłem [1])“...

Na ziemi ojczystej wciąż on gości, i, pomimo że go tak niegościnnie ziemia ta przyjmuje, nie opuszcza jej aż do zgonu, — „poddając się pozycyi, w której go Bóg postawił“ — aczkolwiek gdzieindziej, wśród cudzoziemców, praca jego i uzdolnienie, i wiedza, i charakter powitanemi byłyby i przyjętemi radośnie.

Nadeszły, po kilku latach wytrwałych starań o miejsce stałe, zmiany w jego osobistej pozycyi. Zabiegi przyjaznych mu osób, głównie tych, co z Ukrainy i Podola wówczas dość tłumnie przebywały w Krakowie, przyniosły mu wreszcie długo napróżno szukaną, stałą a poważniejszą pracę; ale wrażenia smutne i na ojczystej ziemi gromadnie otaczają tułacza. Stan moralny tej dzielnicy Polski, w której zamieszkał, smuci go, niepokoi: mnóstwo szczegółów o owym moralnym stanie okolic podkarpackich znajdujemy w dość obfitej seryi jego listów do przyjaciela, zkąd obszerne daliśmy wyciągi, uzupełniające rysy jego postaci. — Ostatnie kilkanaście lat życia generała upływa wśród żmudnej pracy na stanowisku inspektora krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń, gdzie się na nim rychło poznano i gdzie go wysoce a powszechnie ceniono. Im większe były jego zasługi dla ojczyzny położone, im większe uzdolnienie, prawość, szlachetność i gorliwość w urzędowaniu, tem bardziej podziwiano jego nadzwyczajną skromność, która daleka

[1]) Z autografu listu, pisanego dnia 8 maja 1872 roku, do pana Karola Baykowskiego.

od wszelkiego zarozumienia, od wszelkiej chęci wywyższania się nad innych, była również daleką od jakichkolwiek ustępstw z własnych przekonań, od cienia chociażby schlebiania, serwilizmu względem kogokolwiekbądź. Obowiązki nowego urzędu pochłaniają mu czas, wreszcie podkopują zdrowie, niszczą siły, które targa w nieustannych służbowych podróżach, przebiegając wzdłuż i wszerz całą Galicyę... Od roku 1876 tworzy on dla siebie gniazdo rodzinne; nie może wszakże używać w całej pełni spokoju życia rodzinnego, do którego wzdycha oddawna; w domu bowiem miesiącami całemi nieobecny, dla spraw stanowiska swego, dającego środki egzystencyi: pędzi lata na wózku, w wagonach kolejowych, wśród nieustannego trudu, częstych niewygód.

Zdrowie raz podkopane, pomimo troskliwej opieki przezacnej żony, jej zabiegów pełnych poświęcenia, bez względu na starania lekarzy, wciąż chwieje się, nie wraca do równowagi... Chorobę nieustannie podniecają cierpienia moralne, owe dziesiątki lat coraz bardziej wzmagającego się ucisku we wschodnich i środkowych dzielnicach Polski... Wielkie jego serce odczuwa za wielu, za bardzo wielu; wrażenia bolesne bijące wciąż swą falą burzliwą o jego organizm fizyczny, nader mocny, jak się zdawało, kruszą go przedwcześnie, a warunki bytu i wielka sumienność w pracy urzędu nie wytwarzają warunków ochraniających zdrowie zachwiane. Silnie rozwinięte cierpienia serca nie wstrzymują go, w pierwszych latach choroby, od odbywania dłuższych podróży, połączonych z obowiązkami służbo-

wemi. Póżniej, gdy podróże stały się już niepodobnemi, nie zabacza przynajmniej o biurze Towarz. Ubezp., do niego jeździ, gdy już chodzić nie może.

Widzimy wreszcie, że ostatnie kilka lat życia trawi wśród cierpień nieustannych, wyłącznie w kole rodzinnem; ale i wcześniej nieco, zajęty pracą swego urzędu, niewiele zwykł był udzielać się szerszym kołom towarzyskim. Nader rzadkie są w tym względzie wyjątki. W roku 1880 (29 listopada), podczas obchodu pięćdziesięciolecia powstania Listopadowego, udział bierze w uczczeniu weteranów w Krakowie, i przemawia do zebranych na uczcie resztek wojska narodow. 1831 roku... W przemówieniu tem uwidocznia się jego zapatrywanie na klęski, wypływające z wielorakich usiłowań narodu, podczas doby porozbiorowej. Twierdzi on, że rzeczą pierwszorzędną są pobudki wywołujące czyn... „Jeżeli pobudki wypływały z wad narodu, to chociażby czyn uwieńczony był powodzeniem bezpośredniem, przyniesie zawsze klęskę w przyszłości; jeżeli zaś pobudki wypływały z cnót narodu, to i czyn jego okaże się zawsze dobrodziejstwem w przyszłości, chociażby on bezpośrednio sprowadził klęskę“... Klęskę zaś narodową tak określa: „Prawdziwą klęską dla narodu jest to, co kala i zniża ducha jego — a prawdziwem dobrem to, co go oczyszcza i podnosi“...

Zbytecznem dodawać, iż z wielkiej powodzi klęsk narodu wyszedł on podniesiony na duchu, acz i przed ostatniemi klęskami duch jego nie kroczył szlakiem nizin. Wiązanka myśli i uczuć, przytoczona tu z jego listów, świadczy o tem. Wszystko

co czynił ów bojownik o wolność i prawdę czynił zawsze z myślą o Polsce, z miłości ku niej, z zaparciem się siebie; urzeczywistniając niejako własne swe słowa, niegdyś wypowiedziane: „Jestem przekonany — wyraził się — że Polak nic dobrego zrobić nie może bez myśli o Polsce, bez miłości dla niej, bez zaparcia się dla niej samego siebie“...

Dni majowe, które przed trzydziestu laty na jego czyny bojowe patrzały, w r. 1893 miały być kresem życia... Cierpienia długie męczyły go, ale poddawał się woli Najwyższego z całą rezygnacyą... „Poznałem — mówił — że życie, nawet w tak męczącem niedołęztwie, jak moje, chociaż już nikomu niepotrzebne, może być mnie samemu potrzebnem dla pokuty, dla oczyszczenia się i przygotowania do stawienia się przed Bogiem!... Któżby śmiał powiedzieć, że gotów?... Poddałem się zupełnie — dodawał — śmierci nie pragnę... ale czuję, że moja godzina się zbliża“... Po bardzo długich a ciężkich cierpieniach, przeczuwał coraz wyraźniej zbliżający się koniec, napisał przeto, na kilkanaście dni przed śmiercią, list do b. kapelana oddziału swego, x. Eustachego Szczeniowskiego, prob. wielickiego, z którym łączyły go stosunki blizkie, prosząc, aby przybył do Krakowa i przygotował go na drogę do wieczności. Stało się zadość żądaniu: zacny kapłan, acz sam już chory, i szybko zbliżający się do kresu swych dni, przybył nazajutrz, wysłuchał z wielkiem wzruszeniem jego spowiedzi z całego życia i — po dniach niewielu — wybiła godzina zgonu jednego z ostatnich owych rycerzy, którzy „wielcy miłością i wielcy pokorą — dawali ojczyźnie

swój żywot cały"... Dzień 23 maja 1893 roku był tym dniem żałoby...

W przeddniu trzydziestej rocznicy bitwy pod Salichą składano na krakowskim cmentarzu zwłoki Edmunda Różyckiego... W chwili gdy trumnę wnoszono w bramę cmentarną, rozległy się dźwięki od stu lat brzmiącej melodyi nadziei, iż żyć ma Ta, co „jeszcze nie zginęła"... Tak — Ona nie zginie, jeśli Opatrzność raczy i w przyszłości zsyłać na ziemię naszą duchy również podniosłe, również czyste i prawe, jakim był duch owego wiernego syna Polski i czciciela Prawdy Bożej [1])...

Kraków, 1894 r.

---

[1]) Na nagrobku ś. p. Edmunda Różyckiego, wystawionym na jego mogile, kosztem i staraniem kolegów, urzędników krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń, czytamy następujący napis, który wyszedł z serca i z pod pióra Adama Asnyka i Rodocia:

Tu proch rycerski prawego człowieka
Na zmartwychwstanie swej ojczyzny czeka,
Gdy z wolą Bożą duch jego na przedzie,
Jak niegdyś braci, do boju powiedzie.
Matce ojczyźnie dał swój żywot cały,
Wielki w miłości i wielki w pokorze,
Polsko! na chwilę odwetu i chwały,
Daj tobie więcej takich synów, Boże!...

Termin zwrotu lub zgłoszenie prolongaty.

10/XII + fr	